



Lovelace Merline

# **Bukiet na walentynki**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Caroline Walters nie spodziewała się, że w to łagodne, lutowe popołudnie jej świat się zawali.

Stała w holu nowego, luksusowego kurortu w Tossa de Mar, miejscowości letniskowej na hiszpańskiej Costa Brava, o godzinę jazdy na północ od Barcelony.

Rozkoszując się zapachem krwistoczerwonych gladioli stojących na stoliku obok, czekała, aż zbliżające się obsadzonym palmami podjazdem srebrne bmw zatrzyma się przed wejściem.

To miało być pierwsze spotkanie z klientem, który przez ostatnie dwa miesiące zmuszał ją i jej dwie współpracownice do karkołomnych posunięć.

Tuż przed przybyciem samochodu zerknęła w znajdujące się za kwiatami lustro. Ciemnomiodowe włosy starannie ułożone, tak by żaden kosmyk nie wysliznął się z ciasnego wężła. Pewne siebie zielone oczy. Jedwabna, wąska spódnica i żakiet leżały idealnie, bez jednej zmarszczki.

Zadowolona ze swojego wizerunku chłodnej i kompetentnej koordynatorki spotkań szybko przejrzała teczkę z wytłaczanej skóry, przygotowaną dla Roryego Burkea, założyciela i szefa Global Security Inc., mającej siedzibę w Los Angeles. Chciała się jeszcze raz upewnić, że ma wszystko, czego Burkę żądał.

Ostateczny program konferencji - jest.

Plan kurortu - jest.

Diagramy pokazujące rozkład głównych sal konferencyjnych - są.

Dodatkowe plany małych sal - są.

Godziny przybycia i numery pokoi wszystkich uczestników - są.

Rezerwacja hotelu i klucz dla Burkea - są.

Uspokojona zamknęła teczkę. Była gotowa. I powinna być! Od chwili, gdy tuż przed świętami otrzymały to mające szaleńczo krótki termin zlecenie, i ona, i współpracownice pracowały jak szalone. Dostały tylko miesiąc na wyszukanie odpowiedniego miejsca i zorganizowanie konferencji dla ponad stu agentów ochrony niemal z całego świata.

W wirze przygotowań styczeń minął nie wiadomo kiedy. W pierwszym tygodniu lutego liczba mejli i telefonów od ludzi Burkea wzrosła. Dwa dni temu Caro przyleciała do Hiszpanii dopiąć ostatnie szczegóły. Po długich godzinach rozmów z koordynatorką z kurortu w końcu potwierdziła jadłospisy wraz ze szczególnymi wymaganiami niektórych osób, rezerwację pokoi i obsługę audiowizualną.

Poradziła sobie też z dość przerażającym zadaniem zorganizowania pokazu sporej liczby różnych rodzajów broni. Niemal w ostatniej chwili szef Global Security Inc. zarządził sprawdzenie służących ochronie ich klientów najrozmaitszych środków ataku i obrony.

Zgodnie z nazwą GSI specjalizowała się w analizie zagrożeń i ochronie osobistej różnych ludzi, od królów i gwiazd rocka do wydawców, którzy znaleźli się na czarnych listach fanatyków religijnych. Z opisu firmy wynikało, że jej pracownicy rekrutują się z wojska i policji dwudziestu krajów.

Szef firmy był równie fascynujący. Jego życiorys wyglądał jak powieść o Bondzie. Komandos w armii USA. Uczestnik operacji specjalnych w Bośni. Krótki związek z nieokreśloną agencją rządową. Doradca kolumbijskiej Gwardii Prezydenckiej. Założyciel i szef GSI, mającej agentów w Iraku, Darfurze, Indonezji, Ameryce Łacińskiej - niemal w każdym gorącym zakątku globu.

Gdzieś po drodze zdołał zrobić magisterium ze stosunków międzynarodowych. Co ciekawe, ani w materiałach reklamowych, ani na stronie internetowej nie było ani jednego zdjęcia Burkea czy któregośkolwiek z pracowników. Caro podejrzewała, że miało to coś wspólnego ze sloganem, że firma oferuje „pełną, dyskretną i anonimową ochronę”.

Caroline, była bibliotekarka, czytała mnóstwo powieści sensacyjnych. Podziwiała rzeczywistych Bondów, takich jak Rory Burkina. Niestety, jej krótka przygoda z tego typu działalnością miała katastrofalne konsekwencje, które całkowicie wyleczyły ją z jakichkolwiek prób naśladowania takiego stylu życia.

Dlatego też była jednocześnie ciekawa swojego nowego klienta i nieco się go obawiała. Jednak gdy wynajęty dla niego na barcelońskim lotnisku samochód zatrzymał się pod porośniętym dzikim winem portykiem, nie pozwoliła sobie na okazanie którejkolwiek z tych emocji. Czekała Merline Lovelace z uprzejmym uśmiechem, aż jej klient wejdzie przez szklane drzwi.

W pierwszej chwili pomyślała, że Burke pasuje do wizerunku, jaki sobie stworzyła w wyobraźni.

Mimo prążkowanego garnituru i włoskiego krawata sprawiał wrażenie człowieka, którego lepiej nie spotkać w ciemnej uliczce.

Uszyty na zamówienie strój podkreślał jego szczupłą, choć mocną sylwetkę. Płowe włosy miał bardzo krótko przystryżone. Nos lekko spłaszczony u nasady, jakby po ciosie pałką lub kolbą. A gdy zdjął ciemne okulary, przeszył Caro wzrokiem na wylot.

Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Te oczy. Ten ukryty, złoty błysk. Ta rdzawa obwódka tęczówek. Spojrzenie wilka, zaklasyfikowała je natychmiast, bo u tych zwierząt często występuje takie zabarwienie.

Takie jak...

Jak oczy, które prześladowały ją w snach przez lata. Drwiły z niej. Wyzywały, by porzuciła wszelkie opory. Kusily do grzechu.

To nie mógł być on! Ten biznesmen nie mógł być tamtym młodzikiem na motocyklu, któremu oddała swoje dziewictwo. Tym draniem, który rankiem zniknął z jej życia, zostawiając po sobie spustoszenie.

Zabrakło jej tchu, nie była w stanie się poruszyć, nawet myśleć. Wilcze spojrzenie nawet na moment nie opuściło jej twarzy.

- Witaj, Caroline. Wieki całe minęły.

O Boże, Boże, Boże!!!

W głowie miała pełen niedowierzania zamęt. Wszystko w niej protestowało z całych sił. Zaciśnęła pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie. Gdy Burke chwycił ją za przedramię, poczuła najpierw lodowaty dreszcz, a potem żar.

- Nie przewróć się.

Szorstki komentarz obudził instynkt przetrwania, który Caro musiała w sobie wykształcić po tamtej nocy sprzed lat. Nie zdołała powstrzymać dreszczu, ale opanowała zawroty głowy i odetchnęła.

- Jak...? Kiedy...?

- Kiedy się dowiedziałem, że zaszłaś wtedy w ciążę? -dokończył za nią. - Trzy miesiące temu. - Rozejrzył się szybko. - To nie miejsce na rozmowę o skutkach naszego spotkania. Znajdźmy bardziej prywatne. Mam już pokój?

- Ja... Ehm... - Oblizła wyschłe wargi. - Tak.

- Masz klucz?

Zdołała tylko skinąć głową.

- Numer?

- Pięć... - Zmusiła się do oddychania, myślenia. - Pięćset osiem.

Podał numer boyowi czekającemu z jego bagażami i poprowadził Caro do wind. Wciąż trzymał ją za rękę.

W drodze do pokoju milczała. Cały czas walczyła z szalejącymi w niej emocjami. Sądziła, że poradziła sobie z przeszłością. Jednak bólu, którego doświadczyła, gdy w siódmym miesiącu poroniła, nigdy nie zdołała pokonać. Tkwił w niej zawsze. To doświadczenie ukształtowało tę kobietę, którą była dzisiaj. Spokojną, opanowaną, ostrożną.

I silną, przypomniawszy sobie ponuro. Na tyle, by sobie poradzić z Rorym Burkiem.

Teraz to imię i nazwisko pasowały do niego, za to zupełnie nie mogła ich skojarzyć z tamtym zarozumiałym osiem-nastoletkiem, który owego lata przez kilka tygodni pracował w warsztacie jej wuja.

- Nigdy nie poznałam twojego prawdziwego nazwiska - wykrztusiła przez zeszywniałe wargi, gdy wysiedli z windy. - Wuj i kuzyn zawsze nazywali cię Johnny. Albo Hoss.

Co było skrótem od „Stud-Hoss”, jak to później przyznał zawstydzony kuzyn. Tyle, że już było za późno.

- John, czyli Johnny, to moje drugie imię. Przestałem go używać, gdy wstąpiłem do armii. Tam nie ma zwyczaju zwracać się do rekrutów żadnym imieniem, ani drugim, ani w ogóle jakimkolwiek nadającym się do publicznego powtórzenia. - Zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami. - Pięćset osiem. To tu.

Wygrzebała kartę-klucz ze skórzanej teczki. Cała jej ciężka praca - program, plany, organizacja wsparcia - pozostały niezauważone. Burkę tylko wsunął kartę w zamek i przepuścił ją przodem.

Pół godziny temu sprawdziła ten czteropokojowy apartament. Na stoliku do kawy zrobionym z polerowanej, granitowej płyty wciąż stał powitalny koszyk. Ręcznie wypisane powitanie od menedżera kurortu widniało tuż obok. Minibarek zappełniała szkocka whisky single malt, ponoć ulubiony trunek Burke'a. Caro była zbyt oszołomiona, żeby zauważać

jakiegokolwiek szczegóły, które tak starannie przedtem sprawdzała.

Upuściła teczkę na stolik, obok koszyka. Odwróciła się w stronę mężczyzny, którego już nigdy nie spodziewała się zobaczyć.

- Powiedziałeś...

Zawahała się, słysząc, jak niepewny ma głos. Do cholery, przecież nie jest zawstydzoną nastolatką!

Przetrwała agresywne oskarżenia ze strony rodziców, długie, samotne dni w domu i w końcu tragedię utraty dziecka.

W trakcie tych wydarzeń odkryła w sobie siłę, której istnienia nie podejrzewała. Dzięki niej skończyła zaocznie liceum i zdobyła pełne stypendium na studia. Na pierwszym roku poznała dwie dziewczyny, które zostały jej najlepszymi przyjaciółkami, a potem partnerkami w interesach. Zorganizowała sobie życie. Nikomu z niczego nie musiała się tłumaczyć, a zwłaszcza temu mężczyźnie, za to on był jej winien wyjaśnienia!

- Powiedziałeś, że trzy miesiące temu dowiedziałeś się o mojej ciąży.

- To prawda.

- Jak?

Rzucił kartę na stolik i szarpnięciem rozluźnił krawat.

- Byłem na kolacji z potencjalnym klientem. Okazało się, że jego żona pochodzi z Millburn.

Millburn w Kansas. Jakieś dziewięć tysięcy mieszkańców. Miasto, w którym Caro spędziła pierwsze siedemnaście lat życia. Wróciła do niego potem tylko raz - na pogrzeb ojca.

- Nazywa się Evelyn Walker. Jej panięskie nazwisko to Brown. Może ją pamiętasz?

- Ooo tak. Pamiętam Evelyn Brown.

Nigdy się nie przyjaźniły. W szkole rzadko zamieniały ] parę słów na korytarzu. Za to gdy się okazało, że ta sztywna, afektowana Caroline Walters wpadła po uszy, Evelyn była : pełna znaczących uśmiezków i złośliwych komentarzy.

- Spytałem ją, czy cię znała - rzekł, nie odrywając od niej oczu, których każde spojrzenie przed laty budziło w niej dreszcz. - Powiedziała, że rzuciła szkołę na początku maturalnej klasy. Wyjaśniła też dlaczego.

- W tamtych czasach szkoły nie były tak tolerancyjne dla nastolatek w ciąży jak teraz.

Potrafiła to powiedzieć bez goryczy. Nigdy nie obwiniała szkolnego psychologa, gdy

ją wezwał i powiadomił, że musi odejść. Nigdy nie winiła rodziców za odesłanie jej, by mieszkała wśród obcych.

To ona sama odrzuciła wszelkie zasady, wszelkie środki ostrożności wbijane jej do głowy przez rodziców, nauczycieli i pastorów i tamtej upalnej, letniej nocy wsiadła na motocykl.

- Kiedy usłyszałem, co się stało...

Pukanie przerwało mu tę zwięzłą relację. Zaklął pod nosem i poszedł wpuścić portiera z bagażami. Caro powitała tę przerwę z ulgą. Odwróciła się, by popatrzeć przez wielkie, balkonowe drzwi.

Spektakularny widok oczarował ją, gdy w zeszłym miesiącu szukała miejsca na konferencję GSI.

Teraz ledwie zauważała średniowieczny zamek wzniesiony na wysokiej skale na odległym końcu wygiętej łukiem, pięknej plaży.

Turyści spacerowali wzdłuż szerokiego, nadmorskiego muru, podziwiając pozostałości drogi zbudowanej przez Rzymian, gdy Hiszpania była tylko odległą prowincją.

Kilku rybaków siedziało przy wyciągniętych na piasek łodziach, naprawiając sieci tuż obok nielicznych entuzjastów słońca, wyciągniętych na ręcznikach czy kocach.

Widok był jak z pocztówki tylko że Caro nie miała nastroju, by go podziwiać. Jednak spokój bezkresu nieba i oceanu pozwolił jej opanować wrzące emocje.

- Czyli Evelyn powiedziała ci, że byłam w ciąży. Chcesz wiedzieć, co się stało z dzieckiem?

- Już wiem. Przeglądałem świadectwa urodzenia. Narodzin i śmierci. Dla pochowanego przez nią dziecka to jeden dokument. Wtedy był przy niej tylko pełen współczucia zarządca domu.

Walczyła z ponurymi wspomnieniami, lecz Burke musiał je zauważyć w jej oczach. Podeszedł, wyciągając rękę. Szarpnęła się, więc ją cofnął.

- Żałuję, że musiałaś przez to przechodzić samotnie - rzekł cicho. - Gdybym wiedział, wróciłbym do Millburn.

To ją zaskoczyło, a jeszcze bardziej, że nie spytał, czy to on był ojcem. Choć przecież wiedział, że była dziewicą. Dość było tamtej nocy na to dowodów.

- Mój wuj próbował się z tobą skontaktować - powiedziała Caroline sztywno. - Ale zawsze wypłacał ci zarobki w gotówce, na lewo. Nie znał twojego numeru ubezpieczenia ani



twojego prawdziwego nazwiska. Nie było cię jak znaleźć.

- Bardzo mi przykro.

W gruncie rzeczy czuła, że jego powrót do miasta nic by nie zmienił. Dziecko prawdopodobnie i tak by straciła. I tak musiałyby żyć z gorzkim rozczarowaniem rodziców.

- Mnie też. Nie będę cię okłamywać. To doświadczenie zmieniło moje życie w sposób, którego wtedy nawet sobie nie wyobrażałam. Byłam taka młoda, taka naiwna. Lecz koniec końców stałam się dzięki temu dużo silniejsza.

Uniosła głowę. Teraz to ona nie odrywała spojrzenia od jego oczu.

- Zostawiłam przeszłość daleko za sobą. Sugeruję, żebyś zrobił to samo.

- To może być trudne, biorąc pod uwagę, jak mnie dopadła kilka miesięcy temu,

- Spróbuj - rzuciła ostro. - Bardzo się postaraj. Będziemy ze sobą pracować przez następne pięć dni i nie chcę...

Przerwała, z szeroko otwartymi oczami.

- O Boże! Dopiero teraz do mnie dotarło! - Potrząsnęła głową z niesmakiem. - Ta konferencja... To zadanie... Dostałyśmy je nieco ponad miesiąc temu. Gdy się o mnie dowiedziałeś.

- Sprawdziłem cię - przyznał, wcale nie przepraszając. - Rzuciłaś pracę w bibliotece, żeby rozkręcić interes z dwiema wspólniczkami. Odkryłem też, że oszczędności całego życia włożyłaś w otwarcie firmy i międzynarodową reklamę. To niezbyt mądre, biorąc pod uwagę, że we trójkę mogłyście wystąpić o preferencyjny kredyt dla małej firmy prowadzonej przez kobiety i nie tykać osobistych własności.

Rozzłościła się, widząc takie naruszenie swojej prywatności.

- Jak zdobyłeś takie informacje?

- Pracuję w ochronie, pamiętasz? Mam dostęp do dowolnych baz danych.

- Nie masz prawa grzebać w moim prywatnym życiu ani w finansach!

- Mylisz się. - Uśmiechnął się trochę kpiąco. - Przez te lata zламаłem pewnie prawie każdy możliwy przepis, ale kilku zasad trzymam się zawsze. Po pierwsze, zawsze mam zabezpieczone tyły. Po drugie, zawsze spłacam swoje długi.

Caro jakoś nie potrafiła dopasować siebie do pierwszej z tych zasad, pozostawała więc druga.

Zalała ją fala złości, rozprasząc inne obudzone przez niego uczucia. Już nie jest

zagubioną, nieśmiałą nastolatką! I to od bardzo, bardzo dawna.

- Zapamiętaj sobie jedno, Burke. Nie jesteś mi nic winien. Tamtej nocy wcale nie musiałeś mnie zawlec nad rzekę w wiadomych celach. Poszłam z własnej woli.

Z własnej woli! Akurat! Tak była tamtego lata spragniona tego umięśnionego chłopaka z ironicznym uśmiechem, że prawie w ogóle nie myślała, o zdrowym rozsądku już w ogóle nie mówiąc.

- Dawno zapłaciłam cenę za tamten akt zidiocenia. Mam czyste konto.

- Nie za bardzo.

Znów wyciągnął ku niej rękę, tym razem nie dając jej miejsca na wycofanie się. Delikatnie dotknął jej brody i zmrużył oczy, wpatrując się w nią intensywnie.

- Millburn było tylko krótkim przystankiem na drodze, która prędzej czy później zaprowadziłaby mnie za kratki. Prawdopodobnie teraz bym siedział, gdybym nie zadarł z pewnym gliną, który wziął mnie za kark i zamiast do więzienia zawlókł do punktu rekrutacyjnego.

Wyczuwała w nim tę lekkomyślność, ten ślad niebezpieczeństwa. Dodawało mu to tylko atrakcyjności. Sztywna, zawsze na miejscu Caroline Walters została uwiedziona, bo zawsze pragnęła spróbować zakazanego owocu. Zrobiły też na niej wrażenie odpowiednio sugestywnie ciasne dżinsy.

- Powiedziałaś, że przeżycia zmieniły twoje życie - ciągnął smutno. - Zaś armia zmieniła moje. Można by powiedzieć, że je uratowała. W zamian za to oddałem swojemu plutonowi wszystko, co miałem, i każdą minutę spędzoną w mundurze. A kiedy odszedłem do cywila, odnalazłem tego policjanta, który tak mi przed laty skopał tyłek. Harry jest teraz moim zastępcą operacyjnym.

Kciukiem potarł jej szczękę. Jego oczy mówiły do niej coś, czego nawet nie próbowała zrozumieć.

- Teraz twoja kolej, Caroline. Zamierzam znaleźć sposób na uporządkowanie spraw między nami.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Rory widział, że wstrząsnął swoją konsultantką. Nic dziwnego. Jego samego dosięgło kilka solidnych ciosów od czasu, gdy się dowiedział, że w wyniku jednorazowego, zupełnie nieodpowiedzialnie beztroskiego postępku został ojcem.

Kobieta, która musiała żyć z konsekwencjami tego działania, teraz niewiele chciała mieć z nim wspólnego. Jej twarz jednoznacznie wyrażała brak zaufania i niedowierzenie.

- Ja... ja muszę odetchnąć. Rozgość się, porozmawiamy później.

I nie tylko porozmawiamy, postanowił Rory, ale teraz trzeba jej dać czas i miejsce na odzyskanie równowagi. Dalsza część kampanii może poczekać.

- Wciąż jeszcze jestem w amerykańskim czasie - przypomniał jej. - Co byś powiedziała na wczesną kolację? O szóstej?

- Dobrze. Jasne. Zgoda.

- Spotkamy się w barze na dole.

Roztargnionym gestem wskazała skórzaną aktówkę na stoliku.

- Informacje o konferencji są w tej teczce. Do zobaczenia.

O tak. Lata spędzone w armii nauczyły go starannego planowania, a Operacji Caroline Walters poświęcił dużo czasu.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, spróbował dopasować kobietę, którą się stała, do siedemnastolatki sprzed lat. Nie było to łatwe. Wspomnienia z tamtego lata miał dość niewyraźne.

I nic dziwnego. Dom opuścił, mając szesnaście lat, po ostatniej bójce z pijanym ojcem. Przez ponad rok wałęsał się po całym kraju na zniszczonym ducati 600, poskładanym własnoręcznie ze starych części. Po drodze miał się najrozmaitszych zajęć. Z niecałego miesiąca w warsztacie Bucka Waltersa w Millburn, w stanie Kansas, pamiętał niewiele: było tam trochę za płasko, za dużo kurzu i zbyt nudno.

Niezbyt dokładnie pamiętał nieśmiały uśmiech siostrzenicy Waltersa, pełen zakłopotania rumieniec za każdym razem, gdy złowił jej spojrzenie, i naprawdę przepiękne

nogi w szortach.

One interesowały go o wiele bardziej niż uśmiechy czy rumieńce. Wtedy był myślącym tylko o seksie draniem. Niemal bez przerwy było mu za ciasno w spodniach. Dlatego też, kiedy tylko nieśmiała brunetka pojawiała się w warsztacie wuja, natychmiast ściągał koszulkę. Musiał wydobyć z niej przychylny uśmiech, namówić, by skorzystała z siodełka jego ducati.

Absolutnie się nie spodziewał, że zrobi to w noc poprzedzającą jego wyjazd z miasta. Nigdy by nie przypuszczał, że obejmie go mocno i przytuli się w drodze przez sierpniowy, gorący mrok. A już nawet nie marzył o tym, by mu się udało cokolwiek zwojować, gdy zaparkowali nad rzeką.

Następnego ranka - wspominał z obrzydzeniem - wyjechał, rzuciwszy na pożegnanie zdawkową obietnicę, że zadzwoni, jeśli kiedyś będzie w pobliżu. Trzydzieści lat później wciąż się z niej nie wywiązał.

Ale był tu i teraz, a obok miał tę kobietę, której tak zmienił życie tamtej nocy. Jej pełna bólu reakcja na wspomnienie ciąży spowodowała, że po raz kolejny miał chęć sam siebie sprać za zlekceważenie zabezpieczeń. Choć może i nie zlekceważył, tylko nie zadziało, nie pamiętał.

Za to był pewien, że Caroline Walters nie należała do puszczałskich. Dała mu tego oczywisty dowód.

Od tamtej nocy przejechał tysiące mil, spotkał wiele kobiet. O ile wiedział, żadnej z nich nie zostawił przeklinającej go ani płaczącej. Świadomość, że akurat Caroline dał dość powodów do obu takich reakcji, ciążyła mu na sumieniu.

Operację Caroline Walters zaczął planować i wprowadzać w czyn następnego dnia po dowiedzeniu się o jej ciąży. Pierwszym zadaniem było oszacowanie celu. To poszło szybko. Parę kliknięć, pogrzebanie w kilku bazach danych, do których miał legalny dostęp, oraz w paru innych, potwierdziło podstawowe dane.

Kolejnym etapem było nawiązanie kontaktu. Długo się zastanawiał, czy zrobić to na gruncie towarzyskim, czy poprzez pracę. Zdecydował się na to drugie podejście z dwóch strategicznych powodów. Po pierwsze, dawało mu to nad nią kontrolę: nie mogła po prostu strzelić go w twarz i zniknąć. Po drugie, znakomicie się to zgadzało z jego interesami. Tak wiele działo się na świecie, że chciał zorganizować spotkanie swoich wszystkich

najważniejszych pracowników.

Trzeci cel to kontakt bezpośredni. Mógł go już sobie odhaczyć w planach, poszło prawie tak, jak przewidywał, oprócz...

Spodziewał się, że ponowne zobaczenie jej wywoła kłębowisko emocji. Poczucie winy, żal. Ulgę, że zrobił pierwsze kroki ku naprawieniu krzywd, które wyrządził tamtej dziewczynie.

Za to kompletnie nie spodziewał się tak silnego zainteresowania tą kobietą, którą się stała. Doznała szoku, ale nie ustąpiła, nie cofnęła się ani o krok. Ta Caroline Walters była o niebo twardsza od nieśmiałej dziewczyny, którą znał.

Czując, że robi mu się ciasno, potrząsnął z niesmakiem głową. Już nie był tamtym jurnym ogierkiem. Nauczył się kontrolować swój apetyt i trzymać żądze na smyczy. Trzymaj się planu, człowieku! Nie zapominaj o ostatecznym celu! Upomniawszy się w ten sposób, zrzucił koszulę i skierował się do łazienki, żeby spłukać pod prysznicem skutki transatlantyckiego lotu.

Caro miała ochotę uciec z kurortu.

Nie mogła wytrzymać w czterech ścianach swojego pokoju. Chciała przejść się chodnikiem otaczającym plażę, pozwalając, by mocna bryza zdmuchnęła z niej choć trochę oszołomienia.

Musiała się też skontaktować ze współpracownikami. Zawiadomić je o tej nieoczekiwanej zmianie sytuacji, poradzić się, jak, u diabła, zareagować na Rory'ego Burke'a. Uznała, że może rozmawiać, idąc. Wygrzebała z torebki komórkę i wsunęła ją do kieszeni kurtki razem z kluczem.

Gdy tylko wyszła ponad najniższy poziom kurortu, uderzyła w nią słona bryza. Starszawy Hiszpan w wełnianej kamizelce i czarnym berecie opierał się o mur. Z wargi zwisał mu papieros. Zapatrzony w morze przymrużonymi oczami, osadzonymi w wysmaganej wichrami twarzy, nie zdradzał najmniejszego zainteresowania turystką opalającą się topless. Jej szczodrze uzupełniony silikonem biust przyciągnął jednak innych.

Caro musiała ominąć sporą grupkę mężczyzn robiących zdjęcie za zdjęciem.

Znalazła zaciszne miejsce u stóp wzgórza zamkowego. Usiadłszy na murze, wyciągnęła komórkę. Na szczęście obie jej współpracownice były w Europie, nie musiała się więc zastanawiać nad strefami czasowymi. Devon McShay dziś rano przyleciała do

Londynu z Calem Loganem, szefem Logan Aerospace, firmy obsługującej teraz wszystkie jej europejskie podróże.

Sabrina Russo była w Rzymie, zajęta organizowaniem filialnego biura i sortowaniem setek zleceń podsuwanych jej przez przystojnego neurochirurga, który miesiąc temu kompletnie oszalał na jej punkcie.

Caro najpierw zadzwoniła do Sabriny. Ucieszyła się, słysząc serdeczne powitanie przyjaciółki.

- Cześć! Co jest grane?
- Poczekaj momentik, chcę dołączyć Dev do rozmowy.

Nacisnęła przycisk konferencyjny. Złapała Devon w limuzynie, którą razem z Calem Loganem jechali na spotkanie z British Aerospace.

- Cześć, Caro.
- Cześć, Dev. Sabrina też jest na linii.
- Świetnie. Muszę wam przedstawić mój aktualny harmonogram. Ale najpierw... Czy przyjęłaś i przywitałaś naszego klienta?
- Tak.

Caro starała się mówić beznamiętnie, ale obie przyjaciółki za długo ją znały. Obie natychmiast wychwyciły rezerwę w tym krótkim słowie.

- Oho! Kłopoty?
- I to jakie.

Nie przyszedł jej do głowy żaden inny sposób przekazania wieści, oznajmiła więc bez owijania w bawełnę;

- Rory Burke, szef Global Security, jest ojcem dziecka, które straciłam w liceum.
- Coo?!
- Nie gadaj!
- Wiercie mi, nie jesteście nawet w połowie tak zdumione, jak ja byłam. Właściwie to wciąż jestem... Ja... ja nie bardzo wiem, jak sobie z tym poradzić.
- W ogóle nie musisz - rzuciła Sabrina. - Pakuj się, dziewczyno. Natychmiast. Złap najbliższy samolot do domu. Zaraz przylecę z Rzymu i zanim się zajmę resztą tej pieprzonej konferencji, skopię drania po klejnotach!
- Zapewnisz nam w ten sposób mnóstwo nowych zleceń - zaśmiała się nerwowo Caro.

- Mamy gdzieś firmę Burke'a! - wtrąciła się gwałtownie Devon. - Popieram Sabrinę. Powiedz łajdakowi, żeby skoczył na główkę z klifu.

- Ale - zaprotestowała niepewnie Caro - on nie jest zupełnym draniem. Nie wiedział, że byłam w ciąży. Nigdy mu nie powiedziałam.

- Bo nie mogłaś go znaleźć!

Dzięki niewzruszonej lojalności przyjaciółek spoczywający na niej ciężar nieco zmalał. Były nie tylko współniczkami, ale i jedynymi bliskimi osobami, z którymi podzieliła się swoją przeszłością.

Poznała je na uniwersytecie w Salzburgu. Wszystkie były uczestniczkami międzynarodowej wymiany w ramach programu Junior Year Abroad. Mieszkały razem. Z początku Caro zachowywała rezerwę, wciąż nosząc blizny emocjonalne po wydarzeniach z czasów liceum. Jednak kombinacja ciasnych pomieszczeń, otwartości Sabriny i pasji Devon do wszystkiego, co ma związek z historią, powoli zmiękczyły jej skorupę. Spoglądając wstecz, Caro zawsze uważała ten rok w Salzburgu za czas, w którym odzyskała życie.

Teraz we trójkę prowadziły biznes. Startującą na rynku firmę o nazwie European Business Services - w skrócie EBS. Od rozpoczęcia działalności, niecały rok temu, zapewniały podróżującym po Europie biznesmenom obsługę obejmującą przejazd, noclegi, tłumaczenia i wszelkie inne potrzebne wsparcie. Ze wszystkimi dotychczasowymi klientami Caro pracowało się bardzo miło.

Ten jednak stanowił nową kategorię.

- Dzięki za wsparcie moralne - powiedziała ze szczerego serca.

- Wsparcie moralne! No wiesz! - warknęła Sabrina. -Wciąż mam ochotę skopać komuś czułe miejsce.

- Daj spokój - odparła Caro z lekkim uśmiechem. - Doceniam twoją ofertę wykonania za mnie brudnej roboty, ale...

Zawiesiła nieco głos, patrząc na fale uderzające w plażę. Niemające końca. Nieustępliwe. Jak czas. Jak jej przeszłość. Jedyne sposob, by sobie z nią poradzić, jedyny, w jaki Caro radziła sobie ze wszystkim, to stanąć z nią twarzą w twarz.

- Jeśli będzie trzeba komuś coś skopać - dokończyła - zrobię to sama.

- Na pewno nie chcesz, żebyśmy przyleciały? - spytała Devon, głosem pełnym troski i niepewności.

- Na pewno. Tylko musiałam z wami pogadać i ostrzec, że z tym kontraktem mogą być problemy.

Udało jej się zawrzeć w głosie o wiele więcej pewności siebie, niż miała.

- Jak chcesz - zgodziła się Sabrina. - Dev i ja popieramy cię na tysiąc procent. Zostań w Hiszpanii albo nie, dokop mu, albo nie, tylko nas informuj. Okej?

-Będę.

Caro wyłączyła komórkę, czując się o sto kilo lżejsza i tysiąc lat młodsza. Mam kontrolę nad własnym życiem, powiedziała do siebie zdecydowanie. Co więcej, jestem współwłaścicielką firmy mającej nader lukratywny kontrakt.

Przez te parę godzin do kolacji strząsnie z siebie pozostałości po szoku, jakiego doznała, stając twarzą w twarz z przeszłością, i wymyśli, jak uporządkować tę niezręczną sytuację. Przysięgła sobie, że kiedy wieczorem spotka się z Rorym Burkiem, będzie chłodna, spokojna i absolutnie profesjonalna.

Chłód i spokój Caro diabli wzięli w dwie sekundy po tym, jak go zauważyła w barze.

Musiał wziąć prysznic przed zejściem, bo wciąż miał wilgotne włosy. Miał na sobie wycięty w serek sweter i sprane dżinsy. Był o wiele bardziej muskularny, niż zapamiętała. Jego strój kompletnie ją zaskoczył.

Przygotowała się na kolejne spotkanie z pełnym dystansu, uprzejmym biznesmenem. Przecwiczyła, co ma mówić, miała przygotowane warunki, na jakich mogła kontynuować ich kontakty. Cała ta przemowa absolutnie nie pasowała do podchodzącego do niej mężczyzny.

Był zbyt rozluźniony i stanowczo zbyt niebezpieczny. Nie ufała jego szerokiemu uśmiechowi. Ani swoim instynktownym na niego reakcjom.

- Zamówiłem tapas. - Wskazał wielobarwny wystrój stołu. - Skorzystasz?

- Jeśli się jest w Hiszpanii... - mruknęła Caro, usiłując odzyskać równowagę.

- Czego się napijesz?

- Białego wina. Godello, jeśli mają.

- Przyniosę je do stołu.

Caroline spędziła w tym kraju dość czasu, by rozpoznać większość przekąsek znajdujących się na stole. Hiszpanie uwielbiali tapas, smakowite kąski służące nie tyle posileniu się, ile nawiązaniu kontaktu w barze. Było ich tyle odmian, ilu kucharzy. Na



małych talerzykach przed nią znajdowały się: aromatyczna ciecierzycyca ze szpinakiem, małże w sosie paprykowo-sherry, prażone migdały, smażone kalmary, oliwki, papryka z anchois, krewetki czosnkowe i kawałeczki dorsza zawinięte w liście winorośli. Każdy kąsek przebity patyczkiem.

Sos na małżach okazał się piekielnie ostry. Poczowała ogień w ustach i sięgnęła po przyniesione przez Burkea wino, mamrocząc podziękowania. Usiadł i wziął swój drink, zanim jeszcze zdążyła umoczyć usta.

- Wypijemy za nowe początki?

To zatrzymało jej dłoń w pół drogi do ust. Spojrzała mu prosto w oczy. Niewiele zdołała z nich wyczytać, lecz zwykła uprzejmość nakazywała przyjąć proponowany toast. A płonące usta zmieniały tę uprzejmość w konieczność.

- Za nowe początki.

Cierpkie, delikatne godello przygasiło paprykowy żar. Odzyskawszy oddech, Caro odstawiła kieliszek i zaczęła wygłaszać przygotowany występ.

- Dobrze, oto moje warunki. Większość czasu od twojego przyjazdu spędziłam na wymyślaniu, jak najlepiej poradzić sobie z tą sytuacją.

- Spodziewałem się, że tak zrobisz.

- Po pierwsze, nie podoba mi się podstępny sposób, w który zorganizowałeś to... spotkanie.

Uniósł brew.

- Nie podoba ci się, że praktycznie wepchnąłem ci w ręce soczysty kontrakt?

- Powinieneś był mi powiedzieć, kim jesteś.

- Nie próbowałem ukryć swojej tożsamości - zaprotestował łagodnie. - Moje nazwisko jest na kontrakcie.

- Dobrze wiesz, że nie miałam szans skojarzyć szefa GSI z chłopakiem, którego wszyscy, włączając w to mojego wuja i kuzyna, nazywali Johnnym.

- Przyjęłabyś zlecenie, gdybym się dokładnie przedstawił?

- Prawdopodobnie nie, i to doprowadza nas do warunków, pod którymi mogę nadal pracować przy twojej konferencji.

Odsunęła kilka talerzyków, oparła ręce na stole i kontynuowała równym tonem:

- Nie życzę sobie żadnych dalszych rozmów o naszych dawnych kontaktach. Nic, co którekolwiek z nas może powiedzieć, nie zmieni tego, co było, więc nie ma się co nad tym

rozwódzić. Zgoda?

Zastanawiał się, bawiąc się małżem na patyczku i przeciągając go tam i z powrotem przez ciemny sos. Caro bezwiednie się temu przyglądała i w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób nabawił się siateczki blizn przecinających grzbiet jego dłoni.

- Zgadzam się - odezwał się w końcu. - Jak powiedziałaś, nie możemy zmienić minionych wydarzeń.

- A jeśli chodzi o zamierzone przez ciebie uporządkowanie naszej wspólnej przeszłości, zapomnij o tym. Nie ma czego naprawiać. Jestem teraz zadowolona z życia. Bardzo. Nie chcę, żebyś mi się do niego mieszał z jakimś błędnie pojmowanym poczuciem obowiązku.

- Dobrze, nie będę się mieszał.

Zmrużyła podejrzliwie oczy. Za łatwo się zgodził.

- Powiem inaczej. Nie życzę sobie ciebie w ogóle w swoim życiu. Kropka.

- Na to już za późno - zauważył. - Jestem tutaj. Ty jesteś tutaj. Przez następne cztery dni będziemy razem pracować.

- W takim razie domagam się ustalenia, że to będzie wszystko. Wyłącznie praca - podkreśliła.

- Tego nie mogę ci obiecać. Kto może przewidzieć, czy ten płomień, który był pomiędzy nami w Millburn, nie rozgorzeje na nowo? Mogę jednak przyrzec co innego - dodał, gdy zeszywniała. - Na pewno nie powtórzę żadnego z popełnionych wówczas błędów. Nie zrobię też niczego, czego nie będziesz sobie życzyła, Caroline. Jesteś ze mną całkowicie bezpieczna, przysięgam.

- Tak, oczywiście - mruknęła. - Czy nie dokładnie to samo powiedział wilk Czerwonemu Kapturkowi?

Uśmiechnął się radośnie.

- Raczej tak - przyznał.

## ROZDZIAŁ TRZEGI

Następnego ranka Caroline wstała o wpół do siódmej. Ponieważ większość uczestników konferencji była pracownikami terenowymi, ich szef zarządził, że obowiązuje strój swobodny. Jednak Caro, będąc koordynatorką całej imprezy, znalazła się w trudnej sytuacji. Nie mogła wystąpić w dzinsach i turystycznych butach.

W końcu zdecydowała się na szare spodnie i pomarańczową tunikę o szerokich rękawach. Do tego włożyła barwne espadryle, które znalazła na bazarze w Tossa de Mar. Włosy związała jak zawsze w kok, mocując je dużą spinką. Kilka muśnięć pudrem, błyszczyc na wargi i była gotowa.

Kolejny raz przejrzała plik opisujący plan konferencji. Zadowolona, że wszystko gra, wyszła z pokoju. Zjazd zaczynał się o jedenastej, więc umówiła się na śniadanie ze swoją osobą kontaktową w GSI, by omówić ostatnie szczegóły. Przez ostatnie dwa miesiące wymieniła z Harrym Martinem setki mejli. Jej listy były treściwe i konkretne. Jego zaś tak zwięzłe, że aż niezrozumiałe. Wyjątkowo małomówny człowiek.

Z zaskakujących wieści przekazanych przez Roryego wynikało, że to on wiele lat temu zaprowadził wyszczekanego dzieciaka do biura rekrutacyjnego, zawracając jego życie na właściwe tory. Spodziewała się potężnej postury, posiwiąłego, typowego gliny.

Martin okazał się rzeczywiście duży. Metr dziewięćdziesiąt, może nawet dziewięćdziesiąt pięć. Nosił ciemne okulary firmy Ray-Ban. Szczupłe, jak wyrzeźbione, policzki pasowały do bardzo poważnego wyrazu ust, sprawiających wrażenie, jakby w ogóle nie znały uśmiechu. Spodnie koloru khaki miał zaprasowane w idealny kant, a błękitna koszulka polo opinała atletyczny tors. Tylko nieco szpakowate, króciutko ostrzyżone włosy zdradzały jego wiek.

- Pani Walters? - Odłożył notes na stół i podał jej twardą dłoń, w której jej zniknęła bez śladu. - Harry Martin.

- Miło mi pana w końcu poznać osobiście, panie Martin.

- Harry - poprawił ją, sadowiac się przy ocienionym parasolem stołku. - Mogę się do pani zwracać Caroline?

- Oczywiście. Jak lot z Casablanki?

Wiedziała, że dotarł tam dwa dni temu, a wczoraj w nocy przemieścił się do Barcelony.

- Dobrze.

Nalał sobie kawy z metalowego dzbanka i wsypał do filiżanki pięć łyżeczek cukru. Caro z fascynacją przyglądała się, jak mieszał gęsty płyn. Zastanawiała się, jak mu się udaje pozostać w takiej formie.

- Lubię słodczyce - wyjaśnił, spostrzegając jej wzrok.

Pociągnął solidny łyk, odstawił filiżankę i zsunął okulary na koniec nosa. Oprócz nich na tarasie jadło śniadanie zaledwie kilka osób. Jednak czy to z przyzwyczajenia, czy instynktownie, Martin ściszył głos.

- Wczoraj, gdy przyleciałem, rozmawiałem z Rorym. Caro zeszywniała, a jej uśmiech wyraźnie przygasł.

Martin zauważył obie reakcje z lekkim zainteresowaniem, ale ich nie skomentował.

- Powiedział, że nad wszystkim panujesz. Odprężyła się odrobinę.

- Taką mam nadzieję.

- Ja też. Bardzo to nie wygodne ściągać ponad stu pracowników terenowych w jednym czasie, ale sytuacja międzynarodowa jest teraz tak niepewna, że w zasadzie nie mieliśmy wyboru. Muszą dokładnie wiedzieć, co się wokół nich dzieje, dlatego każda minuta tej konferencji jest dla nas cenna.

- Plan jest rzeczywiście bardzo napięty.

- Zaraz będzie jeszcze gorzej.

Odsunął filiżankę, otworzył notatnik i wyciągnął solidnie pokreślony terminarz zjazdu. Caro aż jęknęła wewnątrz, widząc liczne dopiski i czarne strzałki oznaczające zmiany.

- Razem z Rorym przejrzelśmy to w nocy. Wykorzystał parę kontaktów i już leci do nas ekspert z Afryki z informacjami o sytuacji w Zimbabwe. Chcielibyśmy wstawić go tutaj, przed raportem z Tiblesi.

- Okej.

- Dodaliśmy też dwie sesje na temat ostatnich wypadków w Tybecie i Wenezueli. Możemy wcisnąć je przed jutrzejszą strzelnicę. Myślę, że jedną załatwimy przy śniadaniu, drugą w

trakcie lunchu.

Caro przełknęła nerwowo, widząc, jak wali się jej misterny plan posiłków. Ukrywając konsternację, skinęła głową.

- Żaden problem.

- A jeśli chodzi o strzelnicę...

Martin przerzucił kartki i wyciągnął umowę podpisaną przez kapitana Antonia Medinę, zbrojmistrza po/ida national w Gironie. Jako pośredniczka w kontaktach GSI z Hiszpanem, Caro spędziła długie godziny, tłumacząc, kompilując i przesyłając w obie strony niezbędne formularze. Przedstawiciel GSI wręczył jej dwa następne.

- Możesz sprawdzić, czy Medina nie zdołałby dorzucić tych dwóch pozycji do pokazu?

- Lodowa tarcza? - przeczytała. - Kamizelka Paraclete? Co to takiego?

- Pierwsza to energetyczny system obronny. Chcemy sprawdzić, czy nie dałoby się go zastosować do ochrony klientów, którzy muszą się mieszać z tłumem. Druga to nowy typ kamizelki kuloodpornej mającej chronić przed amunicją przeciwpancerną. Znalazłem tu w Hiszpanii źródło obu. Mogą je dostarczyć na czas przed jutrzejszym pokazem.

Upił łyk kawy i popatrzył na nią znad okularów.

- Dasz radę wprowadzić zmiany?

Jakby miała wybór! Zasalutowała żartobliwie.

- Tak jest, sir!

Leciutki uśmiech złagodził jego rysy.

- Muszę przyznać, że miałem wątpliwości, gdy Rory powiedział mi o wyborze European Business Services na organizatora konferencji. Uważałem, że waszej firmie brakuje środków i doświadczenia, by zorganizować wszystko w tak krótkim czasie. Jak dotąd udowodniłaś, że byłem w błędzie.

Caro poprawiła się nieco na krześle. Nie mogła zaprzeczyć, że to zlecenie przyniesie solidny zysk, wciąż jednak miała Roryemu za złe wykorzystanie go jako pretekstu do Ich ponownego spotkania, którego ani nie oczekiwała, ani nie chciała.

- Sądząc po bardzo skromnych kontaktach z twoim szefem - powiedziała, starając się zrobić to bez sarkazmu - podejrzewam, że zazwyczaj wszystko jest tak, jak on chce.

- Cóż, w końcu jest szefem. - Martin bawił się filizanką, uważnie się przyglądając jej twarzy. Caro poczuła się mocno niepewnie. Podejrzewała, że ten gliniarz dostrzegął o wiele

więcej, niż ludzie by chcieli.

- Rory to dobry człowiek - dorzucił po chwili. - Można mu ufać, że zrobi to co właściwe.

Ha, to zależy od definicji słowa „właściwe”, pomyślała cynicznie.

- Uwierzę ci na słowo. Zerknęła na zegarek i przeraziła się.

- Masz jeszcze coś do mnie?

- W tej chwili nie.

- To lepiej zrezygnuję ze śniadania, żeby się zająć tymi zmianami.

- Nie ma sprawy.

Caro zostawiła w biurze pendrive a z poprawionym terminarzem i potem spotkała się z koordynatorką konferencji ze strony kurortu. Ta, widząc, co się dzieje, wezwała szefa kuchni.

Andreas nie był szczęśliwy, że musi zrezygnować z wyszukanego śniadania, na którym miała być grillowana andaluzyjska szynka i lokalna odmiana tortilli. Krzywiąc się, zaproponował o wiele prostszą jajecznicę na kielbasie z bułeczkami oraz lokalnym dżemem morelowym. Konieczność rezygnacji z wystawnego szwedzkiego stołu z owocami morza na lunch przyjął jeszcze gorzej.

Caro zostawiła go narzekającego na zmiany i pospieszyła do biura. Ku jej uldze bardzo sprawni ludzie już kończyli wydruk poprawionego terminarza i obiecali dostarczyć go na sesję otwierającą konferencję.

Poradziwszy sobie z tymi dwoma problemami, Caro spróbowała złapać kapitana Medinę. Z poprzednich kontaktów z nim zorientowała się, że nader niechętnie trzyma się jakichkolwiek terminów. Tym razem miała szczęście, dopadła go i wymusiła obietnicę przejrzenia przefaksowanych formularzy.

- Pańska odpowiedź potrzebna mi jest najszybciej, jak to możliwe - błagała po hiszpańsku.

Uczyła się tego języka w liceum i na studiach. Porozumiewała się w nim dość swobodnie, prawie tak jak w niemieckim, który opanowała w trakcie rocznego pobytu w Salzburgu z Devon i Sabriną. - Por favor, capitán.

- Sí, sí, le llamaré.

Zmuszona zadowolić się obietnicą telefonu, skierowała się do sali balowej, by się upewnić, że wszystko jest gotowe do pierwszej sesji. Ku jej uldze technicy uruchomili już sprzęt audiowizualny.

Sprawdziła też, czy jest dość kawy, herbaty, wody i napojów. Uczestnicy już zaczęli się schodzić. Gdy po raz ostatni sprawdzała liczbę i ustawienie siedzeń, docierały do niej krótkie fragmenty rozmów.

- Ramienz, ty stary łajdaku! - Muskularny rudzielec w koszuli typu safari, z niezliczonymi kieszeniami, klepnął w ramię brodatego Latynosa. - Słyszałem, że w Panamie wąż cię użarł?

Dołączyła do nich szczupła Azjatka w czerwonej sukni, rozciętej z boku. O głowę niższa od obu mężczyzn powitana została z głębokim szacunkiem i zasypana pytaniami o porwanie Yang Su.

Caro wysliznęła się do toalety, by poprawić fryzurę i makijaż. Potem odetchnęła głęboko, przywołała na twarz zawodowy uśmiech i wróciła na salę.

W czasie jej krótkiej nieobecności pojawiło się tu sporo nowych osób. Większość stanowili mężczyźni, choć wypatrzyła kilkanaście kobiet. Rory'ego łatwo było zauważyć w tłumie. Kątem oka obserwowała, jak ściska dłonie i poklepuje po plecach.

Co najmniej jedna osoba otrzymała pocałunek, a właściwie to ona pocałowała jego. W policzek, choć dla Caro było oczywiste, że ta wysoka, atrakcyjna blondynka wolałaby bardziej intymną wersję. Z jakichś powodów, nad którymi nie miała czasu się zastanawiać, Caro od razu poczuła niechęć do tej kobiety. Kiedy Rory zauważył swoją koordynatorkę konferencji, podprowadził ku niej tę blondynkę.

- Przedstawiam ci Sondrę Jennings. Jest szefową europejskiego oddziału GSI z siedzibą w Kopenhadze. Sondro, to Caroline Walters z European Business Services.

Kobieta uściśnieła jej dłoń z przyjaznym uśmiechem.

- Czyli to pani udało się poskładać tę mrzonkę do kupy. Parę minut temu Harry Martin wspominał o pani przy kawie. - W jej oczach pojawił się żartobliwy błysk. - Znajac Harry'ego, doprowadzał panią do białej gorączki.

- Raczej tak - przyznała Caro.

- Pracowałam z kilkoma klientami, którzy mogliby być zainteresowani usługami świadczonymi przez EBS. Kiedy wrócę do Danii, skontaktuję się z nimi i rozpuszczę wieści o was.

- To bardzo miłe z pani strony.

- My, dziewczyny, musimy trzymać się razem. - Jej wzrok padł na wchodzącego do sali

mężczyznę. - Ależ to Abdul-Hamid! Nie widziałam go od czasu, gdy razem wytropiliśmy źródło pogroźek pod adresem autora „Wśród mudżahedinów”. Wybaczcie mi.

Pospieszyła do wejścia i zamknęła przybysza w potężnym uścisku. Odpowiedział tym samym, z tak wyraźną radością, że Caro musiała zrewidować swoje pierwsze wrażenie.

- Jest bardzo towarzyska.

- Kiedy ma na to ochotę - odparł Rory. - Gotowa zacząć to przedstawienie?

- Jeśli ty jesteś gotów, to ja też.

- No to zaczynamy.

- Będę na końcu sali. Kiwnij na mnie, jeśli będę potrzebna.

- Mowy nie ma. - Potrząsnął głową, chwycił ją za łokieć i poprowadził w stronę stolika w pobliżu mównicy. - Chcę cię mieć tu z przodu, pod ręką.

-Ale...

- W ten sposób łatwiej się będzie porozumieć. Usadowił ją obok Harryego Martina i przypiął sobie do koszuli klips z mikrofonem. Jego głos rozbrzmiał w głośnikach.

- W porządku, moi drodzy. Czas się wziąć do roboty. Oczekał, aż ucichnie szuranie krzesłami, i poprosił Caroline, by wstała.

- Do wiadomości tych, którzy jeszcze jej nie spotkali, to Caroline Walters. Razem z Harrym sprawują pieczę nad całą imprezą. Z zażaleniami proszę do niego, za to wszystkie pochwały należą się jej.

Rory mówił przez całą następną godzinę. Caroline słuchała z rosnącym podziwem, jak omawia światowe trendy w przemocy wobec znanych osób. Sypał przykładami i odpowiednimi liczbami, ani razu nie zaglądając do notatek. Nawet dla laika było oczywiste, że szczegółowo zna każdy fakt dotyczący swojego niebezpiecznego zawodu.

To co mówił, było raczej ponure, a pokazywane slajdy wręcz budziły grozę. Z przerażającą dokładnością pokazywały francuskiego ambasadora z zawiązanymi oczami i lufą przystawioną do głowy. Podziurawione pociskami ciało premiera Indonezji. Przerażoną żonę kapitana policji z Kolumbii, całą obwiązaną materiałami wybuchowymi. W kilka sekund później handlarze narkotyków wysadzili ją w powietrze jako przestrożę dla każdego, kto współpracował z siłami porządkowymi i przestrzegał prawa.

Kiedy Rory skończył, Caroline marzyła, by opuścić salę. Nie spoglądała na świat przez różowe okulary, ale ta ponura opowieść uzmysłowiła jej, jak potrafił być



niebezpieczny.

Zwłaszcza dla wysoko postawionych klientów, którym jej firma świadczyła usługi. Ani ona, ani Devon, ani Sabrina, nie zdawały sobie sprawy z tego aspektu działania swojej firmy. Zapragnęła jak najszybciej przekazać swoim współpracownikom choć część tych informacji.

- Teraz zrobimy krótką przerwę, żeby obsługa mogła przygotować lunch - powiedział Rory swoim ludziom. - W trakcie posiłku Harry przedstawi ostatnie ostrzeżenia wydane przez Departament Stanu.

Z potężną ulgą Caroline dała służbie sygnał do podania paelli, zaplanowanej jako pierwszy posiłek podczas konferencji. Większość składników przygotowano wcześniej w kuchni kurortu, lecz dokończenie należało do kucharzy w wysokich czapach. Ustawieni za wysokimi do pasa stanowiskami z wielkimi, czarnymi patelniami podsmażali ryż, siekali warzywa i piekli kawałki owoców morza nad otwartym płomieniem.

Wkrótce smakowite wonie ściągnęły uczestników z powrotem do sali. Caro nie uspokoiła się, dopóki wszyscy nie napełnili sobie talerzy solidnymi porcjami. Pod naciskiem Rory'ego przyniosła swój talerz do jego stolika.

- Lepiej posłuchaj informacji Harry'ego o najnowszych ostrzeżeniach Departamentu Stanu - poradził jej szef GSI. - Mogą mieć znaczenie dla twojego interesu.

- To samo sobie pomyślałam w trakcie twojego wystąpienia. Podałeś mnóstwo raczej przerażających informacji.

- Świat jest przerażający.

Skinęła głową, nabiła na widelec kawałek kalmara i skupiła się na zwięzłej relacji Harry'ego.

Reszta popołudnia minęła na mnóstwie sprawozdań z różnych krajów opisujących konkretne przypadki. Caro musiała wyjść, by odebrać telefon od kapitana Mediny. Wróciła z dobrą wiadomością, że zaaprobował zmiany w pokazie broni.

Pierwszy dzień konferencji skończył się o szóstej. Kolację zaplanowano na siódmą. Ponieważ większość uczestników odczuwała skutki zmiany stref czasowych, Harry powiedział Caro, że posiłek powinien być krótki i prosty. Zamówiła różne tapas w części baru, skąd był wspaniały widok na zatokę. Następnie podano sałaty i kebaby z grillowanego mięsa. Na deser były rozplywające się w ustach babeczki przypieczone z wierzchu do

chrupkości i polane karmelowym sosem.

Kilka osób z GSI udało się na spoczynek natychmiast po kolacji. Reszta zebrała się w grupkach, wymieniając się wojennymi opowieściami, od śmiesznych do naprawdę upiornych. Caro próbowała niepostrzeżenie przemieszczać się pomiędzy nimi, by się upewnić, że mają wszystko co trzeba, ale Sondra Jennings wciągnęła ją do jednej z nich, Rory do innej. O dziesiątej kolorowe espadryle gniotły ją tak, że nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła je zrzucić.

W końcu powiedziała „dobranoc” i opuściła towarzystwo ostatnich wytrwałych, zgromadzonych ciasno wokół koktajlowego stolika. Rory odprowadził ją wzrokiem przez korytarz. Czowała to spojrzenie i rozzłościło ją to nadspodziewanie mocno. Przez cały dzień starała się nie pamiętać o ich wspólnej przeszłości. Dzięki zmianie, jaka zaszła w Rorym, nie było to wcale trudne. Dzisiejszą konferencję otwierał obcy jej człowiek, dobrze poinformowany, ostry, szef w każdym calu. Znała go wcale nie lepiej niż on ją.

Co wcale nie wyjaśniało paskudnego mrowienia pomiędzy łopatkami, gdy wychodziła z baru.

Krzywiąc się, wyszła na wykładaną płytkami werandę. Naprawdę chciała iść do swojego pokoju na górę, wysłać szybkiego mejla do Devon i Sabriny, a potem paść na łóżko. Jednak księżyc w pełni wiszący nad Morzem Śródziemnym zniweczył te plany.

Zatrzymała się, oczarowana jarzącą się na morzu smugą księżycowego światła. Myśl o wejściu w to płynne światło była zbyt kusząca dla osoby, która całe życie spędziła w równinnym Kansas.

Kurort leżał zaledwie o parę metrów od szerokiego muru otaczającego zatokę. Kilka kroków doprowadziło ją do kamiennych schodów i na piaszczystą plażę. Caroline zrzuciła espadryle, wzięła je w rękę i podeszła po twardo ubitym piasku do wody.

Bryza niosła ze sobą wilgotny chłód. Zastanawiała się, czy nie wrócić do pokoju po szal. Drżąc lekko, poruszyła palcami w chłodnym piasku. Fale cofnęły się, zapraszając ją nieco dalej, potem wróciły z zaskakującą siłą.

-Au!

Woda była lodowata, o wiele zimniejsza, niż się spodziewała. I o wiele silniejsza. Pierwsza fala zawirowała wokół jej kolan. Druga uderzyła, zanim zdążyła się wycofać, i przemoczyła ją do kolan.

Rzuciła się ku plaży, ale nie mogła pokonać wstecznego prądu. Niczym gigantyczny odkurzacz wyplukiwał piasek spod jej bosych stóp i wciągał ją głębiej. Straciła równowagę, potknęła się. Zobaczyła nadchodzącą następną falę. Szarpnęła się w tył i przewróciła z głośnym pluskiem.

Przyływ zalał ją. Sól szczypała w oczy. Klnąc, porzuciła espadryle i próbowała płynąć. Chciała stanąć na nogi, ale wsteczny prąd trzymał mocno.

Świetnie! Cudownie! Jak tak dalej pójdzie, woda wyrzuci jej trupa na libijską plażę. Wściekła wbiła stopę w niestabilne morskie dno.

Właśnie udało jej się znaleźć solidne oparcie, gdy czyjaś dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. W chwilę później została postawiona na równe nogi i oparła się na czyjejs szerokiej piersi.

- Caroline, nic ci nie jest?

Odgarnęła mokre pasma włosów z oczu i spojrzała prosto w napiętą twarz Roryego.

- Wszystko w porządku. Teraz.

- Prawie dostałem zawału, widząc cię w wodzie. Co ty sobie myślałaś, wchodząc tak głęboko?

Ścisnął mocniej jej rękę, przygotowując się na kolejną falę. Zimna woda obmyła jej uda i zmoczyła dół tuniki.

- Wcale nie zamierzałam wchodzić tak głęboko. Prąd mnie wciągnął.

- Jezu Chryste!

Prawie tak samo przemoczony jak ona pomógł jej wydostać się na płyciznę.

- Śmiertelnie mnie wystraszyłaś, kobieto - złagodniał, puścił ją i szybko sprawdził, czy jest cała. - Na pewno nic ci nie jest?

I- Naprawdę nic.

Za to teraz, kiedy minął pierwszy szok, była strasznie zażenowana. Takie wyciągnięcie na brzeg na wpół utopionej idiotki miało fatalny wpływ na wizerunek Caro jako chłodnej profesjonalistki.

- Dzięki - wykrztusiła, zreflektowawszy się w końcu.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się, widząc, z jakim trudem jej to przyszło. - Ratowanie pięknych kobiet jest jedną z usług GSI. Jednak opłata za nią jest raczej słona.

- Wyślij mi rachunek Odliczę go od końcowego rozliczenia za nasze usługi.

- Mam lepszy pomysł.

Wciąż się uśmiechając, wsunął jej mokre pasmo włosów za ucho. Ton jego głosu zmienił się na ironiczny, jakże dobrze jej znany.

- Co powiesz, jeśli odbiorę zapłatę w naturze?

W jednej chwili miała znowu siedemnaście lat, była beznadziejnie zadurzona i bezradna. Mogła się tylko gapić, pozbawiona tchu, jak Burke ujmuje ją delikatnie pod brodę i odchyła głowę do tyłu.

- To tylko pierwsza rata - ostrzegł, a w następnej chwili już namiętnie ją całował.

## ROZDZIAŁ GZWARTY

Pocałował ją. Miał w tym kilka celów.

Już nie był tamtym wiecznie rozochoconym ogierem. Jego zamiarem było tylko pokazanie Caroline, że może mu ufać. Teraz.

Ale ona odpowiedziała na pocałunek i wszystkie jego zamiary diabli wzięli. Smakowała solą ze śladem słodczy i karmelu. Przez mokre ubranie wyczuwał jej biust i biodra. W uszach huczało mu morze... albo własny oddech.

Nagle prawie stracił równowagę. Dopiero po chwili zorientował się, że to silny prąd wsteczny wypłukuje mu piasek spod stóp.

Podniósł głowę i pozwolił sobie na chwilę przyjemności, jakiej mu dostarczał jej widok. Oczy miała szeroko otwarte, szybko wypełniające się emocjami, wśród których były i konsternacja, i wstręt.

Z żartobliwym prychnięciem spróbował załagodzić nadciągającą burzę.

- Ale wciąga, nieprawdaż?

Dwuznaczność była niezamierzona, ale oboje ją zauważyli. Aż syknęła. Natychmiast się wycofał.

- To znaczy piasek. Czuję, jak ustępuje pod stopami. Jeśli nie chcesz teraz ty mnie ratować, powinniśmy wracać na plażę.

Woda sięgała tylko do kostek, ale prąd był tak silny, że musiał objąć ją w pasie, by jej pomóc dotrzeć na brzeg. Gdy tylko znaleźli się na suchym lądzie, uwolniła się gwałtownie. Oczekiwał ataku, ale ku jego zaskoczeniu miała pretensje do siebie.

- Co ja sobie myślałam? Dlaczego właściwie w ogóle nie myślałam?

Sprawiała wrażenie tak skonsternowanej, tak zniesmaczonej, że z trudem się powstrzymał od wyrażenia swego zdumienia.

- Nigdy nie pozwalałam sobie na coś takiego! Nigdy!

- To znaczy, że ty nie... Że nigdy...

Jego niedowierzenie wyrwało ją z samooskarżania.

- Nigdy nie byłam z nikim oprócz ciebie? - dokończyła, unosząc brodę. - Nie pochlebiaj

sobie, Burkę. Nie winię ciebie za to... za tę głupotę, tylko siebie. Wierz mi, to się już nie powtórzy.

Akurat. Teraz, gdy już miał okazję jej posmakować, postanowił zmodyfikować swoje plany wobec niej. Punkty piąty i szósty wymagały poważnej korekty.

Obmyślał ich nowe wersje, gdy tymczasem Caroline odwróciła się, przeszła dwa metry i zatrzymała się gwałtownie. Podniósł wzrok i zobaczył to samo co ona: długi rząd oświetlonych, sięgających od podłogi do sufitu okien.

Cholera! Byli tam. Harry, Sondra, Abdul-Hamid i wszyscy, którzy zostali po kolacji. Skupili się przy oknach, z wyraźnym zainteresowaniem przyglądając się scenie na plaży.

- O nie... - jęknęła Caroline, bardziej do siebie niż do niego. - Jak ja im rano spojrzę w oczy?

Nawet nie próbował jej tłumaczyć, że to nic wielkiego. Sam mógł znieść podkpiwanie z igraszek w falach, sądził jednak, że dla niej to może być trudne. Nie z powodu zachwiania jej wizerunku profesjonalistki, o utrzymanie którego tak dbała. To przeszłość uczyniła ją szczególnie wrażliwą na szept i ukradkowe spojrzenia. Za żadne skarby nie mógł pozwolić, by ponownie ją to spotkało z jego powodu.

- Załatwię to z moimi ludźmi. Nie musisz się obawiać spotkania z nimi jutro, ani żadnego innego dnia.

To spokojne oświadczenie złagodziło, nieco wzburzenie Caro. Był taki pewny siebie, taki rzeczowy. Jakby wskoczenie do Morza Śródziemnego i przytulanie się do ociekającej wodą kobiety zupełnie nic nie znaczyło.

Prawdopodobnie była to prawda. Dla niego. Ona za to wciąż czuła jego smak na wargach.

Rozstali się zaraz po wejściu do holu. Caroline dopiero w bezpiecznym ustroniu swojego pokoju dała upust kłębiącym się emocjom.

- Głupia, głupia! Głupia!!!

Chciała się rozplakać. Walić pięściami w poduszki. Wrzeszczeć albo kogoś skopać. Cokolwiek, byle zatrzeć ślady bolesnego upokorzenia ostatnich dziesięciu minut.

Musiła się zadowolić wpadnięciem do łazienki, zderzeniem z siebie swetra i ciśnięciem nim o ścianę. Odrobinę jej ulżyło. Po chwili w ślady swetra poszły spodnie i bielizna.

Gapiła się na ociekający wodą stosik. Przepelniało ją obrzydzenie do samej siebie. Poza jednym, małym, buntowniczym fragmentem umysłu, który domagał się przywołania każdej sekundy tamtego pocałunku, tamtego żaru.

Nie okłamała Burke'a. Miała innych mężczyzn. Dokładnie dwóch. Z pierwszym umawiała się pół roku, zanim zdołała przełamać wewnętrzne bariery na tyle, by pójść z nim do łóżka. Niestety, ten seks okazał się niewart czekania.

Devon przedstawiła ją drugiemu, biologowi, którego jej przyjaciółka spotkała przy jakiejś okazji związanej z programem Lets Go Green. Ernie bardzo poważnie traktował swoją działalność, lecz najbardziej chwycił za serce uwielbieniem dla starych nagrań Deana Martina i każdego bezdomnego kota, na jakiego trafił. Caro chciała go kochać. Naprawdę. Tak do niej pasował, tak był łagodny i dbały w łóżku.

Za bardzo. Nie potrafiła nie porównywać ostrożnych pieszczot Erniego z dziką eksplozją rozkoszy, jakiej doświadczyła tamtej nocy z Rorym - taką samą, jaką poczuła dziś. Podniecenie trawiło ją jak gorączka, grożąc wyrwaniem się z wewnętrznych barier.

Weszła pod prysznic i rozkręciła go do maksimum. Podstawiając twarz pod silnie bijące strugi, pozwoliła sobie na pełen frustracji jęk.

Rankiem z podniesioną głową weszła do sali, w której przygotowano śniadanie dla GSI. Miała całą noc na to, by się przygotować na złośliwostki i porozumiewawcze uśmiešky, wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że cokolwiek Rory wczoraj im powiedział, zadziałało. Wszyscy byli przyjaźni i uprzejmi. Spostrzegła tylko jedno zerknięcie ze strony rudowłosego ochroniarza oraz bardziej uważne Sondry. Stopniowo się odprężyła.

Stężała znowu, gdy wszedł Rory. Wystarczyło jedno spojrzenie na niego i poczuła, jak wszystko się jej w środku przewraca. Odwróciła się, zanim ją zauważył, przeklinając w duchu, gdy jej filiżanka zadzwoniła na spodeczku.

Kiedy się znalazł koło niej, miała już wszystko pod kontrolą.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Wszystko w porządku? - spytał. - Tak.

Szorstka odpowiedź najwyraźniej go nie zniechęciła, jak również nie powstrzymała od znaczącego spojrzenia na jej usta.

- Żadnych skutków nocnej kąpieli?

- Żadnych.

Kpiący wyraz jego oczu powiedział jej, że dostrzegł kłamstwo. Na szczęście Harry Martin podszedł, zanim Rory zdążył rzucić jej wyzwanie.

- Szefie, mam gotowy raport o sytuacji w Wenezueli.

- Wezmę tylko kawę i zaczynamy.

Jak poprzedniego dnia Caroline starała się pozostać w cieniu, by móc dopilnować posiłków. I tak samo jak wczoraj Rory zniweczył jej plany.

- Panie przodem - zwrócił się do niej.

Powiedział to bardzo uprzejmie, lecz bez wątpienia był to rozkaz. Przez trzy czy cztery sekundy rozważała odmowę, potem wzruszyła ramionami i dołączyła do niego przy stoliku.

Po wykładzie o raczej nieprzyjemnej sytuacji w Wenezueli uczestnicy podzielili się na mniejsze grupki, by omówić lokalne sprawy. Sondra prowadziła sesję dotyczącą Europy, Abdul-Hamid zajął się Środkowym Wschodem i Afryką. Ekspertem od Azji okazał się ogorzały Anglik o specyficznym poczuciu humoru.

Zaintrygowana wybuchami śmiechu dobiegającymi ze spotkania, któremu przewodniczył, wśliznęła się do sali w samą porę, by usłyszeć jego opis podjętej przez piratów próby porwania luksusowego jachtu klienta GSI.

- Podeszli nocą na radarze, na tyle blisko, by odpalić granatniki. Na szczęście dla nas ci łajdacy nie mieli pojęcia, jak uruchomić wbudowany w nie radar namierzający. Cholerne pociski doleciały jednak wystarczająco blisko, że bym miał pełne gacie.

Jeden z mężczyzn zarechotał głośno.

- Od kiedy w ogóle nosisz gacie, Basil?

- To była tylko figura retoryczna, stary. Wracając do naszych nocnych gości... Naprawdę żałuję, że nie widziałem ich gąb, gdy zrzuciliśmy osłonę z naszego Mól, zamontowanego na rufie, ale było za ciemno.

Caroline nie miała pojęcia co to takiego Mól, ale z aprobujących pomruków domyśliła się, że to raczej potężna broń. Prelegent potwierdził to chwilę później, radośnie opowiadając, jak zdmuchnęli napastników z powierzchni wody.

Po raz kolejny zaskoczona ogromem zagrożenia, z jakim ludzie Roryego stykali się na co dzień, wymknęła się, by sprawdzić przygotowania do lunchu i przewozu uczestników



do arsenału policia nacional w Gironie.

Dwa autobusy stały przed kurortem. Za nimi cierpliwie czekała ciężarówka wypełniona zamkniętymi skrzyniami. Pilnowało ich dwóch ludzi Roryego, którzy eskortowali je z lotniska.

Caroline przygotowała się do tej wycieczki najlepiej, jak potrafiła. Wiedziała, że wiekowe miasto Girona opanowywali kolejno Iberowie, Rzymianie, Wizygoci, Maurowie i armia napoleońska. Do czasu wygnania Żydów z Hiszpanii w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku stanowiło też centrum badań kabalistycznych. Ostatnimi laty znów stało się ośrodkiem studiów judaistycznych.

Kierując się wskazówkami, które przefaksował jej kapitan Medina, Caroline poprowadziła konwój do policyjnego arsenału leżącego pod miastem. Antonio Medina wyszedł im na spotkanie, przywitał się z Caroline po angielsku, z bardzo silnym katalońskim akcentem.

- Dzień dobry, pani Walters.

- Witam, kapitanie. Pozwoli pan sobie przedstawić Roryego Burke'a, prezesa i dowódcę Global Security Incorporated.

- Dużo o panu słyszałem, panie Burke. Był pan w międzynarodowych siłach prowadzących śledztwo w sprawie jedenastego marca, prawda?

- Owszem.

Caroline dopiero po chwili zorientowała się w czym rzecz. Jedenasty września zapadł w świadomość każdego Amerykanina, a podobny, potworny atak nastąpił w Hiszpanii jedenastego marca dwa tysiące czwartego roku. Niemal dwieście osób zginęło w jednoczesnych atakach na podmiejskie pociągi, a prawie dwa tysiące odniosło rany.

Nie miała pojęcia, że Rory był członkiem międzynarodowych sił badających te zamachy bombowe. W opisie firmy nie było o tym najmniejszej wzmianki. Z drugiej strony, może to i lepiej, żeby terroryści nie mieli pojęcia o posiadaniu tego typu doświadczenia. Wyjaśniało to wszakże cierpliwość kapitana Mediny, gdy Caroline zasypała go lawiną papierkowej roboty niezbędnej do załatwienia GSI dostępu do policyjnej strzelnicy, znajdującej się w szczerym polu, kilka kilometrów od budynków arsenału.

Tam Medina, Rory i Harry Martin zaczęli rozmawiać z dowódcą obiektu. Caroline miała wrażenie kompletnej nierealności sytuacji, gdy przysłuchiwała się dyskusji na temat

laserowych celowników do broni ręcznej, pocisków przeciw kamizelkom kuloodpornym i eksplozji o dużej fali uderzeniowej, której tło stanowiło radosne świergotanie jaskółek i rozświetlony gorącym słońcem spokojny krajobraz.

Huk pierwszego strzału z dalekosiężnego karabinu snajperskiego z celownikiem laserowym spłoszył jaskółki. Caro stała daleko za linią ognia, z ochronnymi nausznikami na głowie. Szczeka jej opadła, gdy obserwator zasygnalizował bezpośrednie trafienie w cel odległy o ponad półtora kilometra. Jeszcze bardziej zdumiewająca była tak zwana lodowa tarcza. Caroline nie miała pojęcia, jakie są fizyczne podstawy tego urządzenia otaczającego cel chmurą ujemnych jonów. Niemal wszystkie wystrzelone do niego pociski straciły w tym polu większość energii, jednak do celu dotarło wystarczająco dużo, by Rory, z kwaśnym uśmiechem, musiał przyznać, że ten sprzęt wymaga udoskonalenia, zanim będzie go można zastosować w praktyce.

Po zaprezentowaniu przez Harryego kamizelki Paraclete agenci GSI po kolei udawali się na linię ognia, wypróbując najrozmaitsze typy broni ręcznej i amunicji. Caroline nie miała pojęcia, że też będzie brała udział w strzelaniu aż do chwili, gdy nastąpiła przerwa i Rory zawołał ją do siebie.

- Strzelałaś kiedykolwiek z tego?

Popatrzyła na stalowoblękitny mały pistolet w jego rękę i potrzęsła głową.

- Nigdy z czegoś tak małego. Kilka razy polowałam z ojcem na przepiórki. Jego dwururka prawie mnie przewróciła.

- Biorąc pod uwagę, jak wysoko postawionym klientom twoja firma świadczy usługi, dobra znajomość broni ręcznej może ci się przydać.

- Mam gorącą nadzieję, że nie!

- Zaczniemy od podstaw - powiedział spokojnie, ignorując jej protest. - To jest bezpiecznik. Zawsze sprawdzaj, czy broń jest zabezpieczona, zanim weźmiesz ją do ręki.

Piętnaście minut później Caroline znalazła się pomiędzy Sondrą i Abdul-Hamidem na linii ognia, przez gogle ochronne wpatrując się w papierowy cel zawieszony w odległości dwudziestu metrów.

Daszek pożyczonej czapeczki osłaniał jej oczy przed słońcem. Solidne nauszники chroniły jej słuch.

Rory stał za nią, praktycznie się o nią opierając i poprawiając jej postawę.

- Nie stój twarzą do celu. Będiesz miała słabą równowagę przód-tył. Powinnaś utworzyć trójkąt z nogą wiodącą z przodu.

- Która to noga wiodąca?

- Jesteś praworęczna, więc odruchowo faworyzujesz prawą nogę. Skręć biodra o czterdzieści pięć stopni, prawe w przód. Trochę mocniej.

Akurat! Jakby mogła myśleć o trójkątach i innych kątach, mając jego dłonie na biodrach przyciśniętych do jego podbrzusza.

- Gdy używasz broni automatycznej, musisz zastosować tak zwany przez nas twardy chwyt. Im mocniej ściśniesz kolbę w dłoniach, tym mniej będzie kopać.

- Mocny chwyt zmniejsza też prawdopodobieństwo, że jakiś palant wytrąci ci ją z ręki - wtrąciła się Sondra.

Caroline zauważyła, że grupka zainteresowanych otoczyła ich z tyłu, obserwując lekcję. Potem Rory otoczył ją ramionami, by ustabilizować jej rękę, i całą uwagę skupiła na swoim zadaniu.

- Kciukiem przesunąć bezpiecznik. Dobrze. Teraz zaciśnij dłonie i skup się na celowaniu. Ciągnij spust do tyłu. Ściągaj go albo naciskaj, ale nie szarp. Gotowa?

- Tak myślę. Puścił ją i cofnął się.

- Strzelaj, kiedy będziesz gotowa.

Pierwszy strzał poderwał jej rękę do góry i poszedł w niebo. Drugi był niewiele lepszy. Czując ostry zapach kordytu, Caroline skrzywiła się, wzmocniła chwyt i wycelowwała starannie.

Następne trzy strzały zahaczyły o krawędź papierowej sylwetki. Szósty i siódmy trafiły w sam środek.

Kiedy opuściła broń i zabezpieczyła ją, od strony obserwatorów rozległy się pohukiwania i okrzyki uznania.

- Masz to we krwi - skomentował Rory po sprawdzeniu pistoletu.

- Szczęście nowicjusza.

- Wierz mi, nie wszyscy początkujący w ogóle trafiają w cel.

Jego uśmiech aprobaty tkwił jej przed oczami przez całą drogę powrotną do kurortu. W dodatku odczuwała denerwujące skutki bliskiego kontaktu z jego biodrami.

Cały wieczór i większość nocy zajęło jej zrozumienie niepojętych doznań

odczuwanych za każdym razem, gdy Rory znalazł się bardzo blisko. Tuż przed siódmą rano, kiedy weszła do łazienki i oparła się o marmurową umywalkę, w końcu miała wszystko rozpracowane.

- To proste - powiedziała do rozczochranej kobiety w lustrze. - Ten mężczyzna uosabia pokusę. Niebezpieczeństwo. Zakazany owoc. Wszystko, czego od liceum starannie unikałaś.

Tak ciężko pracowała, by sobie poradzić z przeszłością. Rozmyślnie wybrała bezpieczny zawód.

Spotykała się z bezpiecznymi, miłymi mężczyznami. Ustaliła bezpieczne zwyczaje. Dopiero gdy w ubiegłym roku związała się z Devon i Sabriną, które krytycznym okiem przyjrzały się jej życiu, zdała sobie sprawę, że wszystko, co robiła, było ściśle związane z przeszłością.

Rzucenie pracy i założenie z przyjaciółkami EBS było ogromnym krokiem w nowym kierunku. Przyznanie, że po tych wszystkich latach Rory nadal ją pociąga, było kolejnym.

- Właśnie to wyznałaś - powiedziała do twarzy w lustrze. - Nadal pragniesz jego dotyku.

Pragnęła więcej. Z brutalną szczerością musiała przyznać, że pragnęła jego ust, dłoni i ciała na swoim ciele. Wstrząsnęło nią to do głębi i skłoniło do zwrócenia się do przyjaciółek po poradę i wsparcie.

Szybko wróciła do pokoju i otworzyła laptopa. Złapała swoje współpracowniczki przy komputerach, bo właśnie sprawdzały pocztę. Parę kliknięć i miała ich twarze obok siebie na ekranie. Sabrina zażądała natychmiastowego sprawozdania.

- No to co z tym Burkiem? Dołożyłaś mu?

- Nie całkiem.

- Wciąż chętnie odwalę za ciebie tę robotę. Tak na marginesie, Marco też.

- Cał również - wtrąciła Dev.

Jasne. Właśnie tego Caro potrzebowała. Dwóch rozeźlonych dżentelmenów atakujących byłego komandosa i twardziela.

- Sytuacja się nieco... hm... zmieniła.

Postukała paznokciem w laptopa. Jak wyjaśnić to narastające pożądanie przyjaciółkom, które tyle lat obserwowały, jak tłumiła emocje?

- Rzecz w tym, że... hm... jakby jestem zainteresowana Rorym.

Poważne niedomówienie, pomyślała Caro smutno, gdy obie twarze na ekranie laptopa przybrały dokładnie taki sam wyraz osłupienia. Zanim odzyskały równowagę, opowiedziała im o pocałunku po niebezpiecznej kąpieli w morzu oraz o cielesnych oznakach pożądania, które dopadły ją poprzedniego dnia na strzelnicy.

- Konferencja kończy się jutro rano - powiedziała. -Część mnie pragnie schować się gdzieś w mysią dziurę do momentu, gdy Rory po południu pojedzie na lotnisko. Ale jest i ta druga, zidiociała, oszołomiona część, która wcale nie chce, żeby wyjeżdżał.

- No cóż - odezwała się po długiej ciszy Sabrina. - Wygląda na to, że coś jest pomiędzy tobą a tym Burkiem. Można to nazwać niedokończoną sprawą, chemią czy starodawnie żądzą. Faktem jest, że skoro powróciło się po ponad dziesięciu latach, to coś to znaczy.

- Wiem! Ale co?

- Pojęcia nie mam. A ty co sądzisz, Dev?

Devon wydeła wargi. Podobnie jak Caro i Sabrina popełniła parę błędów, z których największym było krótkie małżeństwo z tym draniem, jej byłym. Nie spodziewała się, że się zwiąże z Calem Loganem, pierwszym poważnym klientem EBS. Codziennie jeszcze się szczypała, by się upewnić, że nie śni. Caroline podejrzewała, że właśnie dlatego dość długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Myślę... myślę, że Sabrina może mieć rację. To niespodziewane powtórne spotkanie poruszyło emocje, które usiłowałaś tłumić przez lata. Może powinnaś się ich pozbyć na dobre. Czy raczej bardziej precyzyjnie, pozbyć się Burke'a z duszy.

- Czy dobrze się domyślam, co sugerujesz?

- Posłuchaj, mówisz, że wciąż cię pociąga. Podejrzewam, że podświadomie wciąż widzisz tamtego ogiera, który pasował do fantazji nastolatki. Teraz może wcale do nich nie dorastać, ale sprawdzić to można tylko w jeden sposób.

- Przez seks.

- Jeśli to ci instynkt podpowiada. Idź za nim, Caro. Zobacz, dokąd cię zaprowadzi.

- Wszystkie wiemy, do czego ją takie podejście doprowadziło dziesięć lat temu - zaprotestowała Sabrina.

- Miała siedemnaście lat i była dziewicą. Teraz jest sporo starsza.

- Dzięki - prychnęła Caroline.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Jedno jest pewne - przysięgła. - Cokolwiek się zdarzy między mną i Rorem, na pewno nie będzie w tym seksu bez zabezpieczeń. Dzięki Bogu, jestem na pigułkach.

Od czasu miłego, bezpiecznego Ernego nie przerywała ich przyjmowania. Nawet wtedy upierała się przy dodatkowym zabezpieczeniu.

- No więc - zastanawiała się Sabrina - najważniejsze pytanie, czy jeśli cokolwiek się wydarzy pomiędzy tobą i Burkiem, to w ogóle będzie w to wchodził jakikolwiek seks.

Caro westchnęła mocno.

- W tej chwili wiem tyle co i wy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rankiem trzeciego dnia konferencji Rory rozpoczął następną fazę Operacji Caroline Walters.

To konkretne zadanie wymagało spotkania się z nią sam na sam, żeby nic ich nie rozpraszało. Z dala od ciekawskich spojrzeń. Planował prywatną kolację w swoim apartamencie, w celu „omówienia” konferencji, ale otrzymany rano telefon od potencjalnego klienta z Barcelony stworzył jeszcze lepszą okazję.

Zatrzasnął komórkę i ruszył szukać Caroline i Harryego Martina. Znalazł ich razem, ustalających nowe dodatki do planu.

Harry spojrzał na niego i natychmiast się zorientował, że coś się kroi. Ten człowiek za dobrze mnie zna, pomyślał kwaśno.

- Hej, szefie. Czegoś trzeba?

- Tak. Sprawdź mi Juana Casteela. Ma firmę spedycyjną w Barcelonie.

- Juan Casteel - zapisał. - O co mu chodzi?

- Twierdzi, że potrzebuje lepszej ochrony.

- A kto nie? - mruknął Harry.

- Casteel dowiedział się, że jestem w Hiszpanii, i chce się ze mną spotkać. Umówiłem się z nim w jego biurze dziś o trzeciej po południu.

- Zaraz się nim zajmę.

- Caroline, będziesz mi tam potrzebna. Casteel mówi po angielsku z bardzo mocnym akcentem i chciałbym mieć obok drugą parę uszu, żeby mieć pewność, że go prawidłowo rozumiem.

Rory zignorował szybkie spojrzenie rzucone mu przez Harryego.

- Przygotuj się na nocleg - poinstruował swoją zaskoczoną koordynatorkę. - Casteel wspominał coś o kolacji u niego, żebyśmy mogli poznać jego żonę i obejrzeć rozkład domu. Jeśli jedzą tak późno jak wszyscy Hiszpanie, nie będzie się opłacało wracać w środku nocy.

Czy będzie kolacja, czy nie, Rory i tak już postanowił, że oboje z Caroline będą tam nocować.

- Lepiej zrobić rezerwację w hotelu - powiedział. - Weźmiemy mój wynajęty samochód. Spotkamy się w holu w południe.

Usiłowała coś powiedzieć, najwyraźniej niepewna i nieufna. Nie dał jej dojść do słowa.

- Harry, powiedz mi, co wygrzebałeś o tym Casteelu. Jego zastępca przyjrzał mu się uważnie, po czym skinął głową.

- Na pewno.

Harry dostarczył informacje o Juanie Casteelu trzy kwadranse później, jednak hiszpański magnat biznesowy nie znajdował się na szczycie jego listy priorytetów.

- Szefie, co pan kombinuje z Caroline?

- Dlaczego sądzisz, że coś kombinuję?

- Nie udawaj. To przecież ja ci uratowałem tyłek przed więzieniem, pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć? Przypominasz mi o tym przynajmniej raz na miesiąc.

Były policjant nigdy nie lubił strzepić języka po próżnicy, więc od razu przeszedł do rzeczy.

- Caroline to dobry dzieciak, ale nie gra w twojej lidze. Jeśli ją znowu skrzywdzisz, będziesz miał ze mną do czynienia.

- Znowu? - zdziwił się Rory.

- Uważasz, że się już zestarzałem albo zgłupiałem? -Z wyrazem niesmaku Harry rzucił dossier na łóżko obok skórzanej walizki. - Byłem pewien, że coś się kryje za twoim naleganiem, żeby to jej firma obsługiwała konferencję. Pogrzebałem co nieco. Szybko się okazało, że to ty kiedyś zrobiłeś jej dziecko.

- Czy to cokolwiek zmienia, że nie miałem pojęcia o dziecku?

- Według mnie nie. Podejrzewam, że dla niej też nie. W co ty grasz?

- To nie gra, Harry. Zamierzam odkupić przeszłe winy.

- Jak?

Nie mógł okłamywać człowieka, który stał się jego sumieniem.

- Z początku zamierzałem załatwić to pieniędzmi. Wiem, że nie odwróciłyby tego, przez co przeszła, ale zapewniłyby jej łatwiejszą przyszłość. Gdyby odmówiła, planowałem załatwić to ukradkiem, wspomagając jej biznes. Ale teraz...

Teraz bezustannie miał widok Caroline w blasku księżyca. Czuł jej smak, gorący i



słony. Jakże pragnął posmakować jej ponownie.

- Teraz rozważam bardziej trwale rozwiązania.

- Takie jak małżeństwo?

- Może.

- Troszkę na to za późno, nieprawdaż?

- Lepiej późno niż wcale. Poza tym obaj wiemy, że wtedy byłbym wyjątkowo parszywym mężem. Byłem młody i stanowczo zbyt przemądrzały.

- Z tym nie będę się spierał. Dlaczego sądzisz, że teraz byłbyś lepszym mężem? Przez ostatni rok spędziłeś w tej szopie, którą nazywasz domem, nie więcej niż parę dni. A jeszcze dochodzi do tego charakter twojej pracy. - Ruchem brody Harry wskazał siatkę blizn na dłoni Rory'ego. - Uważasz, że bez końca będzie ci się udawało rozwalać okna płonących samochodów i wyciągać przez nie klientów?

- No cóż, to jest rzecz, którą bardzo poważnie biorę pod uwagę:

Rory spojrzał w dół i zacisnął pięść. Przez wiele miesięcy po kłopotach w Seattle nie był w stanie tego zrobić.

- Obaj znamy stopień ryzyka, Harry. Im ważniejsi klienci, tym większa szansa, że oberwiemy razem z nimi. Z drugiej strony, im większe ryzyko, tym lepszy zarobek. Mam w banku więcej pieniędzy, niż byłbym w stanie wydać, żyjąc dwa razy.

- I nikogo, komu można by je zostawić - zgodził jego wieloletni mentor i przyjaciel. - Oprócz kilkunastu instytucji charytatywnych, które regularnie cię skubią. Czyli chcesz zrobić z Caroline bogatą wdowę.

- Mam nadzieję, że nieprędko. Lecz tak czy inaczej, będzie ustawiona do końca życia.

- Tak z ciekawości - dorzucił Harry - skąd jesteś taki pewien, że ona cię zechce?

- Wcale nie jestem pewien. Ale coś jest między nami. Jakaś iskra. Płomień. Coś, co tliło się przez te wszystkie lata.

- Tak, widziałem was wczoraj w nocy na plaży, jak rozdmuchiwaliście ten płomień. Mówiłeś jej o swoich planach dotyczących jej przyszłości?

- Jeszcze nie.

- A kiedy zamierzasz?

- Nie jestem pewien. Może dziś wieczorem, w Barcelonie.

Harry powoli skinął głową.

- Powtarzam ci, chłopcze, skrzywdź tę dziewczynę jeszcze raz, a odpowiesz przede mną.
- Zrozumiałem. A teraz powiedz mi w skrócie, czego się dowiedziałeś o Casteelu.

Caroline uznała, że spotkanie z wysoko postawionym klientem Roryego wymaga bardziej profesjonalnego stroju niż dość swobodne ubrania, jakie nosiła podczas konferencji. Na jedwabną, błękitną jak woda bluzkę bez rękawów narzuciła czarny żakiet, do tego włożyła dopasowaną czarną spódnicę i czarne, lśniące czółenka.

Kiedy spotkała się w holu z Rorym, poczuła, że słusznie się przebrała. On też zmienił strój. W szarym garniturze i pod krawatem wyglądał jak biznesmen w każdym calu. Gdy na nią spojrział, dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Gotowa?

Gdy skinęła głową, wziął jej torbę i zaniósł razem ze swoim bagażem do srebrnego bmw czekającego przed wejściem. Uśmiechnięty boy otworzył jej drzwiczki.

Po drodze do miasta Caroline prawie się nie odzywała. Na autostradzie wciąż wracały do niej strzępki porannej rozmowy z Sabriną i Dev.

Iść za głosem instynktu czy tym razem jednak rozsądku?

Zacisnęła palce na kartce z podanymi przez Casteela wskazówkami, jak dojechać do jego biura w centrum. Zerknęła na mężczyznę obok i w jego profilu zobaczyła jedynie ślady tamtego nastolatka, za którym tak szalała.

Ten Rory Burke był tak inny i tak niebezpiecznie pociągający. Twardo zarysowana szczęka, zmarszczki w kącikach oczu, nos nieco spłaszczony u nasady - wszystko razem budziło w Caroline żar, przy którym bladło pożądanie sprzed lat. Mamy dzisiejszą noc, pomyślała. Sam na sam. W mieście stworzonym dla zakochanych.

Jeśli to ci instynkt podpowiada, idź za nim, Caro. Zobacz, dokąd cię zaprowadzi. Odwrócił głowę i popatrzył na nią. Te wilcze ślepia zdawały się przewiercać ją na wylot.

-To tu?

-Co?

- C-33. - Kiwnął głową w stronę zielonego znaku przy szosie. - Tu mamy zjechać?

- A, tak. C-33.

Przywołana z powrotem do pilotowania, czego sama się wcześniej podjęła, Caroline rzuciła okiem na notatki. Wkrótce zanurzyli się w rozległe przedmieścia Barcelony, hałaśliwe i ruchliwe.

- C-33 przechodzi w Avenue Meridiana mniej więcej za kilometr. Trzymamy się jej, aż dojedziemy do Avenue Diagonal. Nią przejedziemy tuż obok Sagrada Familia.

- Koło czego?

- Sagrada Familia, słynnej, wciąż niedokończonej katedry. To jest jedno z dzieł Antoniego Gaudiego, obok La Pedrera i Casa Battló.

Zacmokała, widząc, że Rory w ogóle nie wie, o czym ona mówi.

- Mówiłeś, że byłeś dwa razy w Barcelonie. Naprawdę nie widziałeś żadnych prac Gaudiego?

- Na pewno nie, chyba że zbudował bar, w którym spędziłem najlepsze chwile trzydniowej przepustki. - W jego uśmiechu nie było skruchy. - Byłem jeszcze wtedy w armii. Następnym razem przyjechałem tu w interesach. Wylądowałem w południe, odleciałem o siódmej tego samego dnia. Nie miałem czasu na zwiedzanie.

- Co za wstyd. W Barcelonie są jedne z największych skarbów światowej architektury. Może skoro już tu jesteśmy, uda nam się wykroić czas na małą wycieczkę.

- Może - zgodził się. - Zdaje się, że dojeżdżamy do Avenue Meridiana.

W opinii Caroline Barcelona była światowej klasy mekką dla wielbicieli wszelkich rodzajów sztuki. Przy poprzedniej bytności spędziła wiele godzin w Muzeum Picassa. Całe jedno popołudnie wykorzystowała na wędrowkę po Montjuic, gdzie w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku odbyła się Wystawa Światowa. Teraz zamek wypełniały szalone i przepiękne rzeźby słynnego Hiszpana Joana Miro. Jednak to niedokończona katedra Gaudiego pozostawiła po sobie niezatarte wrażenie.

Wkrótce po skręcie w Avenue Diagonal cztery wieże tego kościoła pojawiły się w oddali - wystrzeliwujące w niebo symbole apostołów. Pozostałych osiem nadal pozostawało w budowie. Wysokie dźwigi stały się integralną częścią widoku świątyni, stojąc tu od czasu rozpoczęcia budowy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku.

Przysięgając sobie, że zaprowadzi tam Rory'ego, skierowała go dalej Avenue Diagonal, a potem w modną, przecinającą miasto z południa na północ arterię Paseo de Gracia.

- Jest tu fontanna, której señor Casteel kazał wypatrywać. - Wskazała pięciopoziomową rzeźbę wystrzeliwującą strugi wody w niebo. - Jego biuro powinno być w następnym kwartale.

Zgodnie ze wskazówkami Rory wjechał na podziemny parking i stanął przy windach na miejscu zarezerwowanym dla niego. Parę chwil później wprowadził Caroline na zalany światłem korytarz na siódmym piętrze. Stanął jak wryty.

- Co to jest? Gigantyczne szachy?

Podążając za jego wzrokiem, wyjrzała przez okno na końcu korytarza i zobaczyła dach budynku po drugiej stronie ulicy.

- To kominy i wentylatory!

Uradowana pociągnęła go w stronę okna, żeby dokładniej się przyjrzeć dziesiątkom dziwnych figur wystających z pofalowanego dachu. Pod tymi modernistycznymi rzeźbami zobaczyli budynek mieszkalny w stylu art deco, ozdobiony powyginanymi balkonami z kutego żelaza.

- To La Pedrera. Kompleks mieszkalny zaprojektowany przez Gaudiego dla rodziny Mila, na początku dwudziestego wieku. Nazywał rzeźby na dachu strażnikami w niebie.

- Dziwne - mruknął Rory, mimo wszystko zafascynowany.

- Ha! Jeśli to uważasz za dziwne, poczekaj, aż zobaczysz Casa Batlló. Wszystkie balkony przypominają czaszki.

- Podoba ci się taka architektura?

- Uwielbiam ją.

- Różne są gusta - zauważył z uśmiechem.

Caroline wiedziała już, że jest w kłopotach. Wystarczyło, że błysnął tym uśmiechem, a wszystko jej miękło w środku.

Zupełnie jak kiedyś w jej głowie wrzeszczał głos. Gdy podniesie wzrok, zobaczy, że się na niego gapisz. Uniesie kącik ust w znaczącym, sardonicznym uśmiechu, a ty się rozpląniesz.

Wtedy pragnęła go z namiętnością nastolatki. W obecnym pożądaniu nie było nic dziewczęcego.

Coś z tych emocji musiało się odbić na jej twarzy, bo uśmiech Roryego stracił nieco pewności siebie.

- Chodźmy załatwić interesy. Nagle poczułem nieprzewartą chęć bliższego poznania tej szalonej architektury Gaudiego.

Architektura była ostatnią rzeczą, o jakiej Rory by pomyślał, gdy później,

wieczorem, wprowadzał Caroline po schodach imponującego domu Juana Casteela.

Spędził dobre cztery godziny w biurze magnata transportowego, wyciągając od niego szczegóły o jego interesach, stylu życia, obecnych zasadach bezpieczeństwa oraz pogroźkach, które skłoniły go do szukania dodatkowej pomocy.

Teraz, gdy lekki, wieczorny wiaterek igrał z kosmykami, które wyśliznęły się z fryzury Caroline, i przynosił jej zapach, poważnie żałował, że zgodził się przez najbliższych kilka godzin łączyć przyjemności z interesami.

Odsunął ten żal na bok, z uznaniem zauważając dwie kamery obserwujące pod różnymi kątami przychodzących gości. Gdy oboje spełnili grzeczną prośbę o zbliżenie swoich dowodów tożsamości do obiektywu, otworzyła im pokojówka w uniformie. Wprowadziła ich do sięgającego trzech kondygnacji holu, zdominowanego przez olbrzymi kandelabr z barwionego szkła.

- Ach, jesteście o czasie.

Juan Casteel z żoną zeszli po ogromnych, wygiętych schodach, żeby ich przywitać. Gospodarz był postawnym mężczyzną po sześćdziesiątce, miał potężny głos i sękaty dłoń, pamiątkę po młodych latach spędzonych w dokach.

Za to jego żona była drobna i elegancka, z godnością nosząca swój wiek.

- Przedstawiam moją żonę, która jest ze mną od czterdziestu lat - zahuczał, pękając z dumy.

- Do dziś nie wiem, dlaczego wyszła za takiego prostaka jak ja.

- Sama się czasami nad tym zastanawiam - zażartowała w perfekcyjnej angielszczyźnie, wyciągając dłoń. - Zapewne pani Walters. Bardzo się cieszę, że mogli państwo dziś do nas dołączyć.

- Proszę mi mówić Caroline.

- Z przyjemnością. A ja jestem Elena.

Gdy senora Casteel zabawiała Caroline przy koktajlach, jej mąż oprowadził Rory'ego po ogromnym domu. Zbudowany w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku był bogato zdobiony i dobrze strzeżony. Późniejsza kolacja trwała długo, w najlepszym hiszpańskim stylu, podano kilka dań i znakomite wina.

Gdy wieczór zbliżał się ku końcowi, Rory stoczył poważną wewnętrzną walkę, jak najlepiej rozpocząć następną fazę planu. Gdy razem z Caroline meldowali się w pięciogwiazdkowym hotelu Grand Royale, miał kilka wariantów do wyboru. Caroline

zarezerwowała dwa osobne pokoje, dla niego apartament, dla siebie mniejszy.

Tylko że dwa nie będą potrzebne. Otwierając drzwi, Rory uznał, że są dwie możliwości, z których obie wykluczały osobne łóżka.

Staranne planowanie okazało się kompletnie niepotrzebne w chwili, gdy zaprosił Caroline do apartamentu. Ku jego pełnemu ironii rozbawieniu ten Gaudi zapewnił mu perfekcyjną scenerię do uwodzenia.

Niedokończona katedra, skąpana w złotym świetle, widniała w oknie prowadzącym na taras niczym w perfekcyjnie dobranych ramach.

-Och...!

Oczarowana Caroline poszła prosto do okna. Chłodny, wilgotny wiatr krążył po tarasie, lecz ona zdawała się go w ogóle nie czuć. Oparła się dłońmi o szeroką balustradę i chłonęła widok. Rory stanął tuż za nią, nieco z boku, osłaniając ją trochę przed wiatrem.

Musiał przyznać, że katedra wyglądała imponująco, górując nad światłami miasta. Jednakże nawet tak fenomenalna budowla nie mogła się równać z Caroline Walters. Delikatny blask rozświetlający jej rysy i podmuchy igrające z kosmykami jej włosów obudziły w nim pożądanie.

Napawał się przez chwilę i tym żarem, i jej widokiem, potem uniosł rękę i otworzył spinkę przytrzymującą jej włosy. Bursztynowa grzywa opadła ciężko, a Caro odwróciła się ku niemu, zaskoczona.

- Pragnąłem to zrobić przez całe ostatnie cztery dni -powiedział, wsuwając dłoń pod jedwabiste fale.

Ostrzegł ją wystarczająco wyraźnie. Dał bardzo dużo czasu na wycofanie się. Nie skorzystała.

- To też chciałem zrobić - wymruczał - od czasu naszej przygody w morzu.

Powoli przyciągnął ją do siebie. Równie powoli pochylił głowę. Poprzednio zrobił to szybko i zaskoczył ją. Teraz chciał, by w pełni była świadoma tego, co się dzieje.

W następnej chwili zwątpił w swój plan. Jedno muśnięcie jej ust wargami i cały zeszywniał z napięcia. Musiał z całych sił walczyć z pragnieniem rzucenia się na nią.

Wtedy cofnęła się lekko, popatrzyła na niego spokojnymi, wielkimi oczami i ogłuszyła go kompletnie, mówiąc:

- Myślę, że powinniśmy się ze sobą przespać.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zanim jeszcze Rory otrząsnął się z osłupienia, zdołał wymyślić dwie możliwe reakcje na tę bezpośrednią sugestię. Mógł zapytać Caroline, co ją do tego skłoniło, albo działać, a pytać później.

Zawsze wolał akcję od gadania.

Jednym, szybkim ruchem chwycił ją w objęcia i w chwilę później niósł przez salon do sypialni.

Eleganckie antyki i wytworne obicia nadawały pomieszczeniom uwodzicielską atmosferę. Ogromne łóżko było już pościelone. Zawinięte w złotą folię czekoladki Godiva spoczywały na ułożonych poduszkach, a na nocnej szafeczce obok stała taca z niebieskimi flaszkami wody Perrier i małą buteleczką francuskiego szampana.

Natychmiast stanęło mu przed oczami kilka metod erotycznego wykorzystania czekoladek i szampana. Później, upomniał siebie twardo. Dużo później. Teraz najważniejsze to wyłuskać Caroline z ubrania, zanim się zacznie zastanawiać, czy dobrze robi.

Postawił ją na podłodze. Jej ocieranie się przy tym o jego ciało podnieciło go natychmiast. Nie wytrzymał, wplótł palce w jej włosy i pocałował ją mocno.

Zawahała się na moment, przyprawiając go niemal o zawał serca, lecz zaraz objęła go za szyję. Poczul ulgę, gdy pocałunek otrzymany w odpowiedzi był równie pełen pasji, jak jego.

Od jej smaku zawrzało mu w żyłach jak po potężnej porcji whisky. Rozpiął jej zakiet, zrzucił go i ściągnął z niej jedwabny top, odsłaniając koronkowy, bladoniebieski stanik o nisko wyciętych miseczkach. Sięgnął dłońią do jej biustu, zareagowała natychmiast...

Zsuwając rękę z jej talii, rozpiął suwak spódnicy. Czarny materiał spłynął na jej czółenka. Nie był pewien, co się spodziewał znaleźć pod spodem, ale frywolny pas do pończoch doprowadził go niemal do utraty kontroli.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał, nie wierząc, że to mówi.

Zarumieniona, z lśniącymi zielonymi oczami skinęła głową.

- Jestem pewna.

Sądziła, że wie, czego się spodziewać. Ostatnim razem, gdy Rory ściągnął z niej ubranie i zajął się nią dłońmi i językiem, w kilka chwil doprowadził ją do jęków i zwijania się z rozkoszy. Zupełnie nie wiedząc, co robić, szła za jego szorstkimi instrukcjami, aż w końcu natura doszła do głosu i Caro zaczęła poruszać biodrami w zgodnym z jego ruchami rytmie.

W trakcie minionych lat zdobyła całkiem sporo doświadczenia. Nic jednak nie przygotowało jej na zwierzęcą żądzę, która schwyciła ją za gardło, gdy tylko Rory położył ją na łóżku, odpiął podwiązki i zsunął z niej pończochy. Powoli. .. jakże powoli...

Kiedy się podniósł, by się rozebrać, jego oczy emanowały takim samym żarem jak dłonie. Szarpiąc się z krawatem, przesunął spojrzeniem od jej piersi aż do kostek.

- Rany, ależ jesteś piękna!

W pierwszym odruchu chciała naciągnąć na siebie przykrycie, zasłonić się. To krótkotrwałe zakłopotanie skończyło się, gdy zobaczyła odsłoniętą umięśnioną pierś Rory'ego.

- Ty też - szepnęła, czując pełen oczekiwania skurcz w brzuchu.

Uśmiechnął się.

- Proszę cię, tylko nie powtórz tego przy Harrym czy kimkolwiek z moich ludzi. Nie pasuje to do mojego wizerunku twardziela.

Za to pasowały do niego blizny krzyżujące się na grzbiecie jego lewej dłoni. Oddychając gwałtownie, Caroline skupiła się na nich, gdy rozpiął pasek i suwak spodni.

Gdy zrzucił je, a potem szorty, zapomniała o bliznach, o szaleńczo bijącym sercu, prawie zapomniała, jak się oddycha. Uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała go nagiego. Żadne z nich nie zdjęło z siebie wszystkiego tamtej nocy nad rzeką. Ona była zbyt zawstydzona, jemu było zbyt pilno. A żaden z dwóch mężczyzn, których od tamtej pory wpuściła do łóżka, na pewno tak nie wyglądał.

Już przy pierwszym dotknięciu jego języka jej ciało samo tłą wygięło, a w chwilę później miała wrażenie, że unosi się nad materacem. A potem świat przestał istnieć...

Nie mogła uwierzyć w swoje hedonistyczne reakcje na Jego pieszczoty. Choć z drugiej strony, był w tym dobry. Szybko doprowadził ją prawie do płaczu z rozkoszy, ona jednak była zdeterminowana zadbać i o niego...

Gdy Caro w końcu się ocknęła, słońce prześwitywało przez szparę między



zasłonami, a jej talię otaczało coś ciężkiego.

Sprawdziła - była to męska ręka. Otrząsając się z sennego otumanienia, pogłaskała ją.

- Najwyższa pora, żebyś się obudziła - zamruczał jej do ucha.

Strasznie chciało jej się do toalety, ale zaraz o tym zapomniała, bo Rory przyciągnął ją bliżej do siebie i poczuła jego biodra...

Potem Caroline wciąż potrzebowała odwiedzić toaletę, ale nie była w stanie zmusić się choćby do tego, by spaść z łóżka. Leżała bezwładnie, czując się jak worek kości, mając siłę tylko na to, by lekko gładzić jego rękę wciąż obejmującą jej biust. Powoli przesunęła paznokciem wzdłuż jednej z białych linii na grzbiecie jego dłoni.

- Skąd je masz?

- Wybiłem okno płonącej limuzyny. W środku był uwięziony mój klient.

Powiedział to ze szczerą obojętnością. Zupełnie jakby wyciąganie człowieka z płonącego samochodu należało do najzwyklejszych, codziennych czynności.

Może i tak było. Po kilku sesjach na konferencji Caroline nabrała szacunku dla ryzyka, na jakie każdego dnia narażeni byli Rory i jego ludzie.

- A teraz ja mam pytanie do ciebie - przerwał jej niespokojne myśli. - Co cię skłoniło do uznania, że powinniśmy pójść do łóżka? Absolutnie nie narzekam. Już postanowiłem, że nie potrzebujemy drugiego pokoju.

- Naprawdę?

- Tak, dziecinko. Lecz muszę przyznać, że osłupiałem po twoim spokojnym oświadczeniu.

- O to mi chodziło.

- Domyśliłem się. Za to nie mogę dojść, dlaczego postanowiłaś nie walczyć z tym, co jest pomiędzy nami.

- Powiem ci, ale najpierw muszę do łazienki.

Rory poluzował objęcia na tyle, żeby się mogła wysliznąć. Zgarnęła ze sobą przykrycie. Jego końce wlokły się po podłodze, gdy przemykała się do wielkiej jak grotła łazienki, pełnej marmurów i złota.

Zamieniła narzutę na jeden z ciężkich, frotowych szlafroków wiszących na drzwiach. Marzyła o prysznicu, ale musiała się zadowolić myjką i pachnącym, hotelowym mydłem. Na szczęście zestawy kosmetyczne w koszykach na milowej długości blacie zawierały też szczoteczki do zębów. Po przeczesaniu palcami rozwichrzonych włosów Caroline ponownie

stała twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

- Zadzwoń do obsługi pokojowej - powiedział. - Kawa i bułeczki są w drodze.

Poklepał materac, najwyraźniej zapraszając ją na śniadanie w łóżku. Wcisnęła dłoń do kieszeni szlafroka i została, gdzie była.

- Pytałeś, czemu się z tobą przespałam. To proste.

- Może dla ciebie.

- Sądziłam, że już lata temu wyrzuciłam cię z pamięci. Nasze niespodziewane spotkanie przywołało z powrotem tamten zamęt, niedokończone sprawy. Postanowiłam nie walczyć z emocjami, które budzisz, tylko przez nie przejść z intencją, że uda mi się pozbyć ciebie raz na zawsze.

- Zdziałało?

- Nie wiem. Za wcześnie, by to stwierdzić.

Kłamała w żywe oczy. Wiedziała. I on wiedział. Wszystko w niej błagało o to, by znów się znaleźć obok niego w łóżku. Tymczasem znacząco spojrzała na zegar.

- Jest prawie ósma. Zamknięcie konferencji zaplanowano na jedenastą.

A potem on poleci do Kalifornii, a jego ludzie rozproszą się po całym świecie. Caro zostanie do jutra, żeby dopilnować wszystkich szczegółów, a potem odleci do Wirginii. Pomiedzy nimi znajdzie się cały kontynent. Na tę myśl ścisnęło ją w gardle. Rory uśmiechnął się i ponownie poklepał łóżko.

- W takim razie lepiej się pospieszmy. Chodź tu, kobieto.

- Nie możemy. Już ledwie zdążymy do Tossy.

Poddał się w końcu i pozbierał swoje ubranie. Gdy poszedł do łazienki, Caroline spróbowała przekonać samą siebie, że dobrze zrobiła.

Poszła za głosem instynktu. Spędziła szaloną noc w jego ramionach. Teraz musiała się cofnąć. Pozwolić, by czas i odległość stworzyły blokadę, z konieczności posiadania której w ogóle nie zdawała sobie sprawy.

Niespełna godzinę później, oboje odświeżeni i starannie ubrani, kończyli śniadanie.

- Powinniśmy ominąć poranne korki - powiedział w windzie. - Będziemy wyjeżdżać z miasta, czyli pod prąd.

Pomiedzy palmami w holu umieszczono małe butikie opatrzone nazwami takimi jak Cartier czy Antonio Miró.

Caroline starała się nie mieć wyrzutów sumienia, gdy Rory oddał obydwie klucze i podpisał rachunek. To nie jej wina, że GSI zostanie obciążona za jej nieużywany pokój. W każdym razie nie tylko jej.

- Dzwoniłem po samochód.

- Tak jest, panie Burke. Czeka na pana przed głównym wejściem.

- Dziękuję.

Już byli przy wyjściu, gdy kolorowa wystawa w oknie ekskluzywnej kwaciarni hotelowej przyciągnęła jego wzrok. Zatrzymał się. Rubinowe kamienie wiszące na srebrnych nitkach układały się w wielkie serce, wewnątrz którego pysznił się pęk róż.

- Który dzisiaj? - spytał Rory.

- Czternasty.

- Walentynki - uśmiechnął się. - Pasuje, nieprawdaż?

Pasuje do czego? Nocy pełnej seksu, po której rozejdą się w przeciwne strony? Jakoś ten scenariusz nie kojarzył się Caro ani z sercami, ani z różami. Chciała to uświadomić Rory'emu, ale właśnie poprosił ją, żeby poczekała na niego w samochodzie.

- Ta okazja wcale nie domaga się romantycznych gestów - zaprotestowała. - Nie musisz mi kupować róż. Poza tym nie ma na to czasu.

- To nie potrwa długo - zapewnił.

No dobrze, może weźmie ze sobą do domu jedną, długą różę i zasuszy ją między kartkami książki. Kiedy po latach ją stamtąd wyjmie, będzie mogła pogłodzić suche, kruche płatki i przypomnieć sobie swoje drugie spotkanie z szaleństwem.

Tym razem wyłącznie różę zabierze ze sobą do domu. Uspokojona i nieco posmutniała Caroline wzruszyła ramionami i pchnęła drzwi.

Już po raz trzeci zerkała na zegarek, gdy Rory w końcu do niej dołączył, bez róż.

- Nie mogłeś znaleźć, czego chciałeś?

- Właśnie że znalazłem dokładnie to, czego szukałem. - Włączył silnik i uśmiechnął się do niej. - Pomyślałem sobie, że dam ci to później, przy kolacji.

- Kolacji? Ale ja myślałam, że lecisz do domu dziś po południu, zaraz po konferencji?

- Tak miało być. Ale zmieniłem rezerwację.

- Kiedy?

- Wczoraj, gdy się dowiedziałem, że ty zostajesz do jutra.

Opadła na oparcie, zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć. Dopiero gdy jechali na północ szeroką Avenue Diagonal, rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie.

- Myślałaś, że tak po prostu spakuję się i zostawię cię w Hiszpanii?
- Dlaczego miałabym myśleć cokolwiek innego?
- Chyba sobie na to zasłużyłem. Lecz nie zamierzam wskoczyć na motor ani do MD-80 i zniknąć z miasta. Nie tym razem, Caroline.

Skrzywiła się, próbując zrozumieć jego motywy. Jeszcze trudniej było jej pojąć swoją własną reakcję na zapowiedź kolejnej nocy z nim.

- Dlaczego ten raz różni się od poprzedniego?
- Będziemy o tym rozmawiać przez całą noc - obiecał jej. - Zaczniemy przy kolacji.

Nie miała wyboru, mogła tylko usiąść wygodnie i liczyć słupki kilometrowe na autostradzie, czekając na zjazd do Tossa de Mar.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dojechali na miejsce, ledwie mając czas na przebranie się przed sesją podsumowującą.

Caroline popędziła do swojego pokoju, wciągnęła czarną, długą do kostek, marszczoną spódnicę i mandarynkową tunikę o szerokich rękawach. Zaczęła upinać włosy w zwykły ciasny węzeł, gdy spostrzegła czerwony znak na szyi.

No cóż! Najwyraźniej z kolejnego spaceru po szalonej stronie życia znów wyniosła jakiś prezent.

Idealnie pasujący do niecodziennego bólu ud i łona. Przemęczyła mięśnie, których nie używała od lat. Zostawiła ciężką, miodową burzę włosów rozpuszczoną na ramionach.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła u dołu schodów, była Sondra Jennings. Wysoka blondynka już się wymeldowała z pokoju i szła do sali konferencyjnej, ciągnąc walizkę na kółkach.

- Hej, Caroline. Brakowało nam ciebie na wczorajszej kolacji.

- Pojechałam z Rorym do Barcelony.

- Taak, słyszałam. - Kółka zastukały na terakotowych płytkach, a Sondra rzuciła jej uważne spojrzenie. - Słuchaj, możesz mi się kazać wypchać, jeśli chcesz. Jednak jest coś, co powinnaś usłyszeć, o ile jeszcze tego nie wiesz.

Caroline zgadywała, o co może chodzić, i sprężyła się wewnątrz. Historia się powtarza! Jedna noc z Rorym i już się rzuca na nią znaczące spojrzenia. Następne będą uśmieшки i chichoty?

- Co takiego? - spytała zimno.

- Rory to bardzo dobry człowiek. W rodzaju tych, co lubią pilnować twojego tyłka. A jeśli mu na to pozwolisz -dodała, ruszając idealnie umalowanymi brwiami - również starannie obejrzy sobie i przód.

Jej szelmowska mina całkowicie rozbroiła Caroline. Z uśmiechem zwróciła się do blondynki.

- Będę o tym pamiętać. Ale trochę się pomyliłaś, Sondro. Mieliśmy z Rorym niedokończone

sprawy, którymi trzeba się było zająć. To wszystko.

- Och tak, tak. Oczywiście. Bez wątpienia. Wmawiaj sobie tak dalej. - Walizka znów podskoczyła kilkakrotnie ze stukotem. - Znam go, Caroline. Nigdy niczego nie robi na oślep. Zawsze wie, jaki ma przed sobą cel i jaki jest najlepszy sposób jego osiągnięcia.

Wolne żarty! Rory wyraźnie powiedział, że jego celem jest naprawienie dawnych krzywd. A jej celem ostatniej nocy było pozbycie się erotycznego zauroczenia, jakie w niej wywoływał. I tyle wyszło z zamiarów ich obojga.

- O wilku mowa - mruknęła Sondra, lekkim ruchem brody wskazując mężczyznę podchodzącego w ich stronę z przeciwnej strony holu.

On też się przebrał. Garnitur i krawat zastąpiły ciemne spodnie i czerwona koszulka polo z emblematem GSI. W jego uśmiechu był tylko ślad godzin spędzonych w nocy i rano na przemiennej aktywności.

- Harry musi z tobą porozmawiać - zwrócił się do Caroline. - Ma pytanie dotyczące zezwoleń wywozowych na broń, którą przywieźliśmy.

- Gdzie on jest?

- Przed chwilą widziałem go idącego w stronę biur.

- Znajdę go. Sondro, wiem, że musisz wyjechać przed końcem sesji. Zamówiłam samochód na jedenastą trzydzieści. Będzie na ciebie czekał.

- Dzięki.

- Miłej podróży.

Blondynka rzuciła Roryemu rozbawione spojrzenie i pochyliła się, by mruknąć Caroline wprost do ucha:

- Tobie też, dziecinko.

- O co chodzi? - spytał Rory, gdy Caro pospiesznie odeszła.

- Babskie gadanie. Słyszałam, że zostajesz w Hiszpanii jeszcze jedną noc. Co się dzieje?

- Tylko parę niedokończonych spraw, którymi muszę się zająć.

Z sardonicznym uśmieszkiem Sondra kiwnęła głową w stronę kobiety znikającej za zakrętem korytarza.

- To jedna z tych spraw?

- Być może.

Szefowa europejskiego oddziału przechyliła głowę i popatrzyła na niego taksująco.

- Ona jest inna niż my, Rory. Brak jej bezwzględności, odporności i cynizmu.
- Tak sądzisz?
- Ja tylko mówię, że może powinieneś zmienić podejście.
- Dzięki za radę. Poradzę sobie.

A przynajmniej taką miał nadzieję. Nie potrzebował rad Sondry o innym podejściu ani ostrzeżeń Harryego, że lepiej będzie, jeśli jej nie skrzywdzi ponownie. Wyznawał zasadę, że należy się uczyć na własnych błędach.

A za pierwszym razem kompletnie wszystko schrzanił z Caroline. Dokumentnie. Wziął, co mu zaoferowano, wsiadł na poobijanego ducati i odjechał, nie oglądając się za siebie ani razu.

Teraz zamierzał dać jej te wszystkie serduszka i kwiaty, na które we własnym mniemaniu nie zasługiwała.

Biorąc walizkę od Sondry i kierując się na sesję podsumowującą, przejrzał w myśli starannie opracowany plan na dzisiejszy wieczór. Zadowolony, że wszystko przewidział, Rory przestawił się z romantycznej kolacji przy świecach dla dwojga na ponurą rzeczywistość porwań wysoko postawionych ludzi i morderstw na zakładnikach.

Caroline spędziła większość popołudnia, potwierdzając loty i upewniając się, że każdy uczestnik sesji będzie miał transport do Barcelony, tak by zdążyć na swój samolot.

Harry Martin był jednym z ostatnich. Oboje z Caro musieli wykonywać coraz bardziej natarczywe telefony do kapitana Mediny, ale w końcu uzyskali zezwolenia wywozowe i mały arsenał zaawansowanej broni był w drodze na lotnisko.

Emerytowany policjant przesunął swoje ciemne okulary na krótko ostrzyżoną głowę i ujął jej dłoń w sękatę łapsko.

- Dzięki tobie, Caroline, bardzo dużo udało się zrobić w tym tygodniu.
- Ja bym powiedziała, że to rezultat współpracy.
- Kiedy dotrę do domu, rozpowiem o EBS. Powinno wam to zapewnić zamówienia od innych firm ochroniarskich.
- Dzięki, bardzo jestem wdzięczna.
- Jaką masz następną chałturę?
- Moja współpracownica zadzwoniła od wydawcy, który chce zorganizować tournée po Europie dla jednego z ich wielkich autorów. Dziesięć dni, dwanaście miast, kto wie ile wywiadów

radiowych i telewizyjnych. Może wezmę tę robotę.

Tak naprawdę nie było żadnego „może”. Sabrina właśnie otwierała biuro w Rzymie, a Logan Aerospace miało zajęcie dla Devon pewnie już do końca świata. European Business Services Inc. już bardzo niedługo musi pomyśleć o dodatkowych rękach do pracy.

Ta perspektywa wywołała dreszcz u Caro. Razem z przyjaciółkami założyły EBS niespełna rok temu, a już odzyskały zainwestowany na początek kapitał i odnotowywały niewielki, ale stały dochód. Jeszcze kilka takich kontraktów jak ten z Aerospace czy GSI i będą mogły zacząć myśleć o strategiach inwestycyjnych i planach emerytalnych. Nieźle jak na trzy kobiety, które porzuciły stałe zajęcia zapewniające emerytury.

- Słyszałem, że Rory zmienił swoją rezerwację powrotną - rzekł Harry.
- Jesteś drugą osobą, która mnie o tym zawiadomiła - odparła sucho. - Czy wszyscy w ochronie zawsze wiedzą, co robią inni?
- Tylko ci, którym zależy na przeżyciu.

Rzuciwszy tę uwagę od niechcenia, zsunął okulary na nos.

- Pamiętaj tylko, co ci mówiłem na początku konferencji. On jest dobrym człowiekiem.
- Jesteś również drugą osobą, która mi to dziś powiedziała.
- Sama widzisz. Do zobaczenia, Caroline.

Zamiast uspokoić, osobiste uwagi Sondry i Harryego tylko ją zdenerwowały. Nie miała pojęcia, jak Rory chciał ją zaskoczyć przy kolacji, ale podejrzewała, że to coś więcej niż kartka walentynkowa. Jeszcze bardziej niepokoiła się, nie wiedząc, jak zareagować na to, co chciał z nią omówić. Nie miała czasu, by wyciszyć targające nią emocje, które wywołała noc w jego ramionach.

Jadąc windą na swoje piętro, musiała przyznać, że eksperyment się nie powiódł. Nie dość, że nie poradziła sobie z dotychczasowymi uczuciami do Rory'ego, to jeszcze dostała nowy zestaw. Jednym z poważniejszych wśród nich okazała się zdradziecka, nieodparta nadzieja, że dzisiejszej nocy znów będą nadzy i bardzo spoceni.

W pokoju wahała się pomiędzy ubraniem się na tę kolację bardzo elegancko a bardzo swobodnie. Nagrana na sekretarce wiadomość od Rory'ego, żeby miała coś wystarczająco ciepłego na spacer nad morzem, załatwiła sprawę. W lutym na Costa Brava zdarzały się bardzo słoneczne dni, zaś nocami bywało naprawdę zimno. Zwłaszcza jeśli blask księżycy zwabi kogoś na plażę, przybój go skotłuje i skończy z wodorostami we włosach!



Wydymając wargi, Caroline przysięgła sobie, że dziś w nocy nie da się zmoczyć.

Zostawiła długą, marszczoną spódnicę, lecz tunikę zmieniła na jedwabną bluzkę z długim rękawem i szeroki, czarny pasek. Plisowany szal, zakupiony na bazarze w Tossa de Mar, i zachwycał egzotycznymi barwami, i dawał ciepło. Ułożywszy jeden jego koniec na ramieniu, Caroline wzięła torebkę i poszła do windy.

Rory czekał na nią. Wciąż miał na sobie czarne spodnie, teraz z czarnym golfem i rdzawą kurtką. Sądziła, że zaproponuje drinki w hotelowym barze, on jednak co innego miał na myśli.

- Jesteś pewna, że w tym nie zmarzniesz? - Zerknął na szal.

- Raczej nie. O ile - dodała po chwili zastanowienia - nie zrobiłeś rezerwacji w jednej z restauracji mających wyłącznie ogródek.

- Prawdę mówiąc, będziemy jedli na dworze. Zamówiłem jednak ogrzewacze tarasowe.

- W takim razie nic mi nie będzie.

Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę chodnika wiodącego do rzymskiego muru. Panował chłód, ale niezbyt ostry ani wilgotny. Lekkie powiewy poruszały delikatnie końcami szala.

Dołączyli do innych spacerujących po szerokim, płaskim murze. Był przyływ. Fale pieniały się na plaży i wokół wyciągniętych na piasek łodzi, przycumowanych do pierścieni znajdujących się u podstawy muru. Chronione przed morzem przez kamienny wał modne hotele i restauracje wypełnione były światłem, śmiechem i muzyką.

- Dokąd idziemy? - spytała, kiedy minęli kilka z nich.

- Prawie do podnóża zamku.

Popatrzyła uważnie w przód i dostrzegła tylko delikatne mżenie światła.

- U podnóża klifu jest restauracja? Nie pamiętam żadnej. Tam są tylko ruiny rzymskiej willi.

- Właśnie tam idziemy.

- Do willi? Żartujesz!

- Nie. Zarządca kurortu powiedział, że oferują tam prywatne przyjęcia. Przysięga, że to najbardziej romantyczne miejsce w całej Tossie.

Musiała protestować dalej.

- Powiedziałam ci dziś rano, że nie potrzebuję żadnych romantycznych gestów. W obecnej sytuacji są przesadzone.

- A jaka to sytuacja, Caroline?

- Mam ci to tłumaczyć słowo po słowie? Niech będzie. Ostatnia noc była... ostatnia. Nie oczekiwałam, że zostaniesz w Tossie do jutra, nie mówiąc już o kolacji ze mną. Jutro odlecimy do swoich odległych od siebie domów. Nie komplikujmy.

- Nie ma żadnych powodów, by to był koniec - zaprzeczył. - Dziś rano powiedziałaś mi, że chcesz się mnie ostatecznie pozbyć z duszy. A jeśli ja nie chcę się pozbyć ciebie ze swojej?

- Czy masz na myśli ten groteskowy pomysł, że musisz wynagrodzić mi to, co się zdarzyło, gdy byliśmy dziećmi?

- Po części - przyznał. - Jednak jest coś więcej. Porozmawiajmy o tym przy kolacji.

Caroline ustąpiła. Gdy weszli po schodach i przeszli przez resztki łuku, stanęła jak wryta.

Nakryty lnianym obrusem stół stał samotnie na środku wyłożonego mozaiką byłego dziedzińca. Setki wielkich świec zalewały przestrzeń miękkim światłem. Za kręgiem ich blasku jeszcze jedyna ściana willi dodawała scenerii dramatyzmu.

- Nie wierzę!

- Uwierz - rzekł Rory z uśmiechem. - Zarządca kurortu twierdzi, że aby móc urządzić tu posiłek, potrzebują specjalnego zezwolenia z Departamentu Antyków. Ale rzecz jest warta takiego wysiłku, nieprawdaż?

- O wiele więcej!

Nigdy jeszcze nie jadła w starożytnym miejscu. Ono było - wiedziała z przewodnika - prawdziwe. Stał tu letni dom bogatego rzymskiego kupca, który szczególnie upodobał sobie klimat Tossy.

Z mroku wyłonił się kelner.

- Dobry wieczór, senor Burke. Pański stół jest gotowy. Podprowadził ich do stołu zastawionego porcelaną i kryształami. Gdy usadowił Caroline, zauważyła różę koło swojego talerza. Łodygę miała owiązaną różową wstążką, której końce znikwały gdzieś na stole.

Gdy Rory usiadł obok, Caro dotknęła miękkich płatków, czując dziwny ucisk w piersi. No dobrze, może nie jest tak odporna na romantyczne gesty, jak sądziła.

Pojawił się drugi kelner i włączył podobny do parasola piecyk tarasowy, rozsiewający i światło, i ciepło, które ich otoczyły prywatną sferą. Następnie nalał im wody

do szklanek, a pierwszy wyciągnął z wiaderka butelkę szampana i przedstawił Roryemu do zaakceptowania.

- Szampan - mruknęła Caroline, gdy kelner napełniał jej wysoki, kryształowy kieliszek. - Stół nad morzem, prywatna obsługa. Brakuje tylko kwartetu smyczkowego.

- To nie kwartet, ale...

Na sygnał Roryego z cienia wyszedł kolejny człowiek. Caro opadła szczęka, gdy zabrzmiały pierwsze tony gitarowej wersji „Granady”. Odwróciła się do towarzysza z niedowierzaniem.

- Hej - rzekł z uśmiechem. - Jeśli się coś robi, można to przynajmniej zrobić dobrze.

Odczekała do sławnego finału, oklaskami nagrodzili występ i wtedy dopiero wróciła do tematu.

- Co ty właściwie chcesz zrobić?

- Przygotowuję scenerię.

- Do?

- Do tego.

Gitarzysta zaczął następny utwór, a Rory wyjął niewielką paczuszkę w turkusowym papierze, przewiązaną srebrną tasiemką, i położył przed nią.

- Co to takiego? - spytała Caro podejrzliwie.

- Twój walentynkowy prezent. Znalazłem go dziś rano w hotelu.

Drgnęła, gdy zobaczyła naklejkę na opakowaniu. Była pewna, że poszedł do hotelowej kwiaciarni, a on był u Cartiera.

Od razu przyszło jej do głowy tuzin obiekcji. Ich relacje były zbyt niepewne na kosztowne podarki. Co więcej, jedna noc spędzona na szalonym seksie to nie powód do wizyt u Cartiera. Chyba że usiłował ratować sumienie, pomyślała niepewnie. Albo zapłacić za usługi.

Tę ostatnią myśl odrzuciła natychmiast po jej powstaniu. Rory nie byłby tak ordynarny. Chyba że...

W tym tkwił problem. Nie знаła tego mężczyzny, a na pewno nie rozumiała, dlaczego zadał sobie tyle trudu, by zaaranżować tę skąpaną w blasku księżyca kolację. Pomimo słów Harryego i Sondry, pomimo godzin spędzonych w jego ramionach, wciąż stanowił dla niej zagadkę.

- Nie mogę tego przyjąć, cokolwiek to jest.

- Dlaczego nie otworzysz, zanim zdecydujesz?

Zagryzając wargę, Caroline rozwiązała tasiemkę. Poczula się jeszcze bardziej niepewnie, gdy z papieru odwinęła małe pudełko na biżuterię.

Dobrze. W porządku. Nie ma co tego rozdmuchiwać.

W pudełku mogą być kolczyki albo spinka. Piękna błyskotka mająca upamiętnić wycieczkę do Barcelony.

Jakby potrzebowała pamiątki! Jeden rzut oka na mocną szczękę Rory'ego momentalnie wywołał ciarki w tych wszystkich miejscach ciała, o które ocierał się zarostem. Z wyraźnym wysiłkiem Caroline oparła się chęci potarcia śladu na swojej szyi.

- Podać tapas, sir? - spytał kelner.

- Proszę dać nam chwilę - poprosił Rory.

Kelner zniknął, gitarzysta zaczął hiszpańską piosenkę ludową, a Caroline wpatrywała się w pudełko z mieszaniną obawy i niezdecydowania. W końcu jej towarzysz przejął inicjatywę.

- Pozwól.

Gdy Rory uniósł wieczko, Caro zabrakło tchu. Na czarnym aksamicie spoczywał perfekcyjny szmaragd w kształcie serca, otoczony diamencikami strzelającymi blaskiem nawet w tak słabym świetle. Gapiła się, oniemiała, gdy wyjmował pierścionek z pudełka.

- Gdy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że muszę ci go dać.

Z uśmiechem sięgnął po jej lewą dłoń. Zanim zdołała się otrząsnąć z osłupienia na tyle, żeby ją cofnąć, wsunął jej pierścionek na palec.

- Troszkę luźny. Trzeba go będzie zmniejszyć.

- Nie mogę go przyjąć!

- Ależ możesz.

- Jest za drogi!

- Nie dla mojej narzeczonej.

Oderwała oczy od szmaragdu i popatrzyła na niego kompletnie zdezorientowana.

- Kogo?!

- To mój niezdamny sposób poproszenia cie, żebyś została moją żoną.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Chyba żartujesz!

Niezbyt wyszukana odpowiedź na oświadczyzny, ale w tej chwili Caroline nie było stać na nic lepszego.

- Wierz mi, jestem absolutnie poważny.

- Nie możesz! My... my nie widzieliśmy się ponad dziesięć lat, słyszałeś o mnie tylko z drugiej albo i z trzeciej ręki, od potencjalnych klientów albo ich żon, spędziliśmy razem zaledwie kilka dni i... Och...

Wyrwała mu dłoń. Zaskoczenie ustąpiło miejsca zrozumieniu sytuacji i narastającej złości.

- Oczywiście, zapomniałam, ty zawsze spłacasz swoje długi.

Parę chwil temu była bliższa prawdy, niż przypuszczała! Rzeczywiście płacił za usługi, tylko że za te sprzed ponad dziesięciu lat. Zacisnęła zęby, ściągnęła z palca pierścionek i wcisnęła go do pudełka. Zatrzasnęła gwałtownie wieczko.

- Sądziłam, że w dniu twojego przybycia do Tossy wyraziłam się wystarczająco jasno. Co było, to było, przeszłości nie da się zmienić. I absolutnie nie oczekiwałam, że będziesz... - wykonała gest dłonią, szukając odpowiednich słów - coś naprawiał po tylu latach.

- Dlaczego uważasz, że chodzi tylko o przeszłość?

- No dobrze. - Skrzywiła się. - Po jednej szalonej nocy zakochałeś się bez pamięci i uznałeś, że żyć beze mnie nie możesz - prychnęła.

Spoważniał.

- Sama musisz przyznać, że ta noc była wyjątkowa.

- Jeśli to żart - warknęła - to wcale nie jest śmieszny. Poważniejąc jeszcze bardziej, potrząsnął głową.

- To nie żart. Powiedziałem ci, że traktuję to śmiertelnie poważnie. Chcę, żebyś za mnie wyszła, Caroline.

- Dlaczego?!

- A dlaczego nie? - odpowiedział pytaniem. - Wciąż jest między nami namiętność, nawet po

dziesięciu latach. Oboje przez ten czas nie znaleźliśmy nikogo innego. Poza tym...

Przerwał, wpatrując się w nią w migotliwym świetle świec. Kelnerzy czekali na granicy dostrzegalności. Gitarzysta delikatnie trącał struny.

Równie dobrze jednak tej nocy mogli być tylko oni dwoje na całym świecie, oni i małe pudełko pomiędzy nimi.

- Pragnę cię, Caroline. Po ostatniej nocy sama chyba wiesz jak bardzo. Chcę też mieć rodzinę. Żonę. Coś więcej niż puste mieszkanie, do którego nie bardzo chce się wracać. Dzieci, jeśli jeszcze raz nam się poszczęści.

Wzdrygnęła się i Rory zdusił przekleństwo.

- Wybacz. Fatalny dobór słów. Lecz gdy usłyszałem, że straciłaś dziecko, skłoniło mnie to do przyjrzenia się mojemu życiu. I zmianom, które w nim nastąpiły.

Ujął jej dłoń i przycisnął ją do ust. Absolutna szczerość w jego oczach złagodziła nieco gniew Caroline, a dotyk jego warg wywołał kolejny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Praktycznie od szesnastego roku życia byłem sam. Pozwól mi, kochanie, wrócić z tobą do domu.

Te ciche słowa przywołały tamto dawne lato. Oczami wyobraźni zobaczyła osiemnastolatka prężącego mięśnie pod brudną koszulką. Tak pewnego siebie i tak samotnego...

- Mówisz o pragnieniu, Rory. O kimś w domu, do kogo można wracać. A co z miłością? Ozy ona pojawia się gdziekolwiek w twoich równaniach?

- Wszystko, o czym mówiłem, jest nią.

Musiała przyznać, że jest absolutnie szczery. Przyparta do muru, Caroline mogła mieć poważny problem ze zdefiniowaniem tej delikatnej, nieuchwytej emocji, o której tak bogato rozpisują się poeci.

Musiała też uznać jego oświadczenia za chyba najbardziej romantyczne w całej historii... Oto siedzieli oboje przy stole ustawionym w liczących sobie dwa tysiące lat ruinach rzymskiej willi, z księżycem nad głowami i z sączącą się przez noc cichą muzyką gitarową.

Caroline nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak zdołał to wszystko zaaranżować, wiedziała jednak, że te walentynki, niezależnie od jej odpowiedzi na tak oszałamiające oświadczenia, pozostaną żywe w jej pamięci do końca jej dni.

Tak samo jak noc nad rzeką...

Jak deszczowy dzień pogrzebu jej dziecka...

Nagle zdała sobie sprawę, że ten mężczyzna był związany z dwoma z trzech najważniejszych wydarzeń w jej życiu.

Tym trzecim był rok spędzony z Devon i Sabriną na uniwersytecie w Salzburgu. Wtedy jej nowe przyjaciółki nauczyły ją znów się śmiać.

Do ostatniej nocy spędzonej w ramionach Rory'ego nawet nie przypuszczała, że pewna jej część, martwa od lat, kiedykolwiek się ocknie. A teraz... Sam kontakt jego dłoni z jej, musnięcie jego warg powodowały wrzenie krwi w jej żyłach.

Czyżby miał rację? Czy pożądanie, pragnienie obecności i miłość były tym samym? Jeśli tak, to ona, Caroline, była po uszy zakochana, pierwszy raz od czort jeden wie jak dawna...

- Zróbmy tak. - Rory wdarł się w jej rozbiegane myśli. - Odpowiesz mi po kolacji. Albo jeszcze lepiej jutro. A ja do tego czasu postaram się przekonać cię, żebyś powiedziała „tak”.

Jakby muzyka, gwiazdy i szum morza nie wystarczały! Musiał dodać sugestywną obietnicę, od której całe łono Caroline ścisnęło się w oczekiwaniu...

- Może być jutro - wykrztusiła, tchórząc kompletnie. Podejrzewała, że nawet tyle czasu jej nie wystarczy, by w ogóle choćby pomyśleć o tych niesamowitych oświadczeniach.

- Dobrze. A do tego czasu... - Otworzył pudełeczko i ponownie wsunął pierścionek ze szmaragdem na jej palec. - Żebyś się już przyzwyczajała - dorzucił.

Odchylił się na oparcie i skinął na kelnera. Gdy z nim rozmawiał, Caroline przechyliła głowę, by zobaczyć, jak blask świec tańczy w kamieniach pierścionka. Kompletnie się nie знаła na biżuterii. Jej największym szaleństwem była grawerowana, srebrna bransoletka w pocie czoła wytargowana w Meksyku. Ale to...

I bez pudełka Cartiera podejrzewałaby, że ten pierścionek o lata świetlne przekraczał jej finansowy zasięg. Centralny kamień lśnił czystą, żywą zielenią, a otaczające go małe brylanciki rzucały błyski sugerujące, że każdy z nich może być więcej wart od szmaragdu.

- Szampana, madame?

Skinęła głową i postanowiła nacieszyć się wieczorem, z takim trudem zaaranżowanym przez Rory'ego.

Magia wcale nie znikła z końcem posiłku.

Po kawie i deserze pod gwiazdami wrócili spacerkiem do kurortu. Wiatr się wzmógł i pomimo protestów Rory narzucił Caro kurtkę na ramiona.

Ciepło jego ciała otaczało ją jak tarcza. Jego zapach drażnił jej nozdrza. Gdy zbliżali się do celu, całe jej wnętrze aż drżało w oczekiwaniu na spełnienie obietnicy danej przed kolacją.

To oczekiwanie wzrosło w windzie, wiozącej ich do jego apartamentu na najwyższym piętrze. Rory wykorzystał tę podróż na namiętny pocałunek, który zaczął się delikatnie, od lekkiego muśnięcia warg... a pod koniec Caroline z całych sił przyciskała całującego ją mężczyznę do siebie. Gdy drzwi windy się otwarły, oboje byli zdyszani.

Dobrze, że jego apartament był naprzeciwko windy. Caro ledwie wytrzymała opóźnienie wywołane koniecznością otwarcia drzwi kluczem. Nie miała pojęcia, czyjej szalona niecierpliwość wynika z niesamowitej romantyczności wieczoru, czy z faktu, że to ich najprawdopodobniej ostatnia wspólna noc. Niezależnie od powodów nawet konieczność zapalenia światła ją drażniła.

Apartament wypełnił się ciepłym blaskiem. Caroline obrzuciła wzrokiem przestronny pokój, zauważając bogate umeblowanie, akwarele na ścianach, biurko zarzucone papierami oraz walizkę przy łóżku, czekającą na spakowanie. Potem rzuciła się Rory'emu w ramiona.

- Mam zaplanowaną całą noc - wtrącił między długimi pocałunkami. - Delikatna muzyka, koniak sączony pomalutku przy podziwianiu księżyca nad zatoką...

- Czy w tych planach uwzględniłeś nas oboje nago?

- Oczywiście.

- To dajmy sobie spokój z muzyką i koniakiem - mruknęła, ciągnąc go za golf. - Masz być nagi. Natychmiast.

Gdy tylko zdarła z niego koszulkę, zajęła się paskiem. Pociągnęła go w stronę sypialni, walcząc z klamrą.

W odpowiedzi ściągnął z niej szal i zajął się rozpinaniem guzików przy pasku jej długiej spódnicy. Kiedy wreszcie przyparła go do brzegu łóżka, ich ubrania leżały porzucane wszędzie po drodze.

Caroline - pamiętając, jak błyskawicznie ostatniej nocy miała pierwszy orgazm, co jego zaskoczyło kompletnie, a ją wprowadziło w zakłopotanie - postanowiła, że dzisiaj wszystko potrwa na tyle długo, żeby oboje mogli się sobą nacieszyć do syta. Wspinając się



na palce do jego ust, zamierzała kontrolować wydarzenia, wielokrotnie doprowadzać go na krawędź spełnienia, by choć w części odwdzińczyć mu się za te wielokrotne, prawie pozbawiające przytomności przyływy rozkoszy, które jej dał wczoraj.

Naga, wtulona w jego podniecone ciało, pociągnęła go na łóżko. Szybko wyśliznęła się spod niego, przerzuciła nad nim nogę i usiadła zdecydowanie na jego biodrach.

- Co powiesz na to, żebym to ja opracowała resztę scenariusza?

W jego oczach błysnął zachwyt.

- Rób, co chcesz...

Gdy następnego ranka Caroline w końcu się obudziła, słoneczny blask przesączał się przez okiennice.

Powoli dotarło do niej, że leży wtulona w Rory'ego, z nogą przerzuconą przez jego biodra, obejmując go w talii. Przytuliła się mocniej.

Swoją dużą dłoń zaczęła delikatnie gładzić jej włosy. Nic nie myśląc, poddała się całkowicie tej pieści. Minęło dobre parę minut, zanim głos Rory'ego wyrwał ją z bezmyślnego zachwyty.

- Powiesz mi, jaki jest werdykt?

- Werdykt? - Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego sennie. - Najlepszy seks, jaki kiedykolwiek w życiu miałam. No, może z wyjątkiem nocy w Barcelonie..

Roześmiał się.

- Pokorny sługa, madame.

Oparła brodę na dłoni. O rany, jak on wspaniale wyglądał rankiem!

- Tyle tylko, że nie całkiem o ten werdykt mi chodziło.

- Hm?

- Czy przekonałem cię, żebyś powiedziała „tak”?

Tak była zajęta kontemplowaniem jego lekko szczeciniastej twarzy i uśmiechniętych oczu, że dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie zadanego pytania. Kiedy do niej dotarło, usiadła, okrywając się prześcieradłem wciśniętym pod pachy.

Rory zrobił wszystko, co mógł, aranżując niemożliwe do pobicia, romantyczne oświadczenia. Rzymska willa, gitara, migoczące świece. Wczoraj wieczorem była zbyt zaskoczona, zbyt oczarowana, by myśleć rozsądnie. Teraz, w świetle poranka, kontrolę przejęła ostrożniejsza część jej osobowości.

- Kiedyś rzuciłam się głową naprzód w wydarzenia i słono za to zapłaciłam - powiedziała powoli, szukając słów. - Muszę... oboje musimy tym razem postępować ostrożniej. Dokładnie się przyjrzeć naszym uczuciom. Sprawdzić, czy łączy nas coś więcej niż łóżko.

Poruszył brwiami w nader uwodzicielski sposób.

- Mam nadzieję, że da się to zrobić, nie wychodząc z niego.

- Mówię poważnie, Rory. Chcę trochę zwolnić.

- W porządku, słyszałem. - Skrzywił się, pocierając dłonią twarz. - To sprawdzanie może być trochę trudne, bo ty mieszkasz w Wirginii, a ja w Kalifornii.

- Trudne, ale nie niemożliwe. Chyba że według ciebie to, co może nas łączyć, nie jest warte zachodu.

- Och, ty jesteś warta wszystkiego. Bezapelacyjnie. Lecz muszę cię ostrzec, że nie należę do najcierpliwszych ludzi. Gdy postanowię coś zdobyć, po prostu sięgam po to.

- Zauważyłam - przyznała łagodnie. - Czyli dogadaliśmy się? Zwalniamy?

- Może jednak trzeba by dokładniej zdefiniować znaczenie słowa „zwalniamy” - rzekł ostrzegawczo, zerkając na zegarek obok łóżka. - Może przedyskutujemy to w drodze na lotnisko?

Caroline skinęła głową, zdjęła pierścionek i podała mu. Odmówił.

- Jest twój, kochanie. Zatrzymaj go jako pamiątkę naszej wspólnej nocy w Tossie.

Jakby mogła kiedykolwiek o niej zapomnieć!

Gdy wróciła do swojego pokoju, wzięła prysznic i spakowała się. Przed zejściem na dół zatrzymała się na chwilę przy oknie. Z morza nadciągnęła lekka mgła, niemal całkowicie przesłaniając zamek. Poniżej widniała jedyna zachowana ściana rzymskiej willi, sprawiając wrażenie samotnego strażnika. Do ostatniej nocy uważała, że Salzburg zawsze będzie jej ulubionym miejscem w Europie. Teraz ten niewielki kurort walczył z wielkim austriackim miastem o pierwsze miejsce w jej sercu.

Westchnęła, wyciągnęła rączkę walizki na kółkach i zarzuciła torbę na ramię. W kilka chwil później wyszła z windy prosto na biura. Ostatnim jej zadaniem było sprawdzenie rachunku razem z organizatorką z ramienia kurortu.

Kobieta była równie sprawna, jak spostrzegawcza. Gdy Caroline starannie sprawdzała liczbę po liczbie, jej lewa dłoń została starannie obejrzana.

- Ma pani piękny pierścionek - odezwała się ze śpiewnym, katalońskim akcentem.

- Dziękuję bardzo.
- Kupiła go pani tu, w Tossie?
- Nie, to pan Burke kupił go w Barcelonie. To... podarunek walentynkowy.
- Pan Burke? Ten dżentelmen, który wczoraj zamówił specjalną kolację?
- Tak

Caroline myślała, że padnie trupem, bo zaczerwieniła się mocno w trakcie rozmowy. Jej rumieniec wywołał miękki uśmiech na twarzy siedzącej po drugiej stronie biurka kobiety.

- Ach, to bardzo romantyczny człowiek. Mój mąż przy tej okazji dał mi tylko róże i czekoladki. - W jej oczach pojawił się wesoły błysk. - Oczywiście wróćcie do Tossy na miesiąc miodowy?

Mamrocząc pod nosem coś kompletnie niezrozumiałego, Caro szybko podpisała rachunek. Wciąż czuła kłopotliwe rumieńce na policzkach.

Rory czekał na nią w holu przy recepcji. Na długi lot ubrał się bardzo swobodnie, w dzinsy, luźną koszulę i rdzawej barwy sportową kurtkę, tę samą co wczoraj.

- Zadzwoń do Deltę i przeniosłem cię do wyższej klasy - poinformował ją, gdy parkingowy pakował ich walizki do bagażnika bmw.
- Dlaczego to zrobiłeś?
- To bardzo długi lot. Równie dobrze możesz spędzić go w pierwszej klasie. Wszyscy ważni dla mnie ludzie nią latają - dodał, zanim zdążyła zaprotestować.

Mówił prawdę, Caro powinna była o tym pamiętać. Sama przecież robiła dla nich rezerwacje. Wciąż jednak czuła się w obowiązku podkreślić, że nie jest nikim ważnym z GSI.

Rory, niewzruszony, dał napiwek boyowi.

- To jeden z tych drobnych szczegółów, które musimy między sobą dopracować. Zgodziłem się na zaloty na odległość, ale na żadne ich warunki jeszcze nie. - Dobrze, że jedziemy razem na lotnisko - odparła Caroline. - Znosi się na poważne negocjacje.

Pochłonęły one ponad czterdzieści minut jazdy do Barcelony, głównie dlatego, że zbaczały w nieoczekiwanych kierunkach.

Pojawiały się tematy, o których nie mieli czasu pogadać. Muzyka, ulubione filmy, dania. Caro przyznała się, że uwielbia krwiste steki oraz operę i ogląda „Upiora w operze”

za każdym razem, gdy jest w telewizji. Rory woli bluesa i jazz oraz - oczywiście - Toma Clancyego i filmy na podstawie jego książek.

Właśnie wyznał namiętność do usmażonej na chrupiąco ryby, gdy odezwała się jego komórka. Odebrał z ręką na kierownicy.

- Burke.

Nawet Caro usłyszała rozpaczliwy krzyk z aparatu.

- Musi nam pan pomóc! Mój mąż został porwany!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Caroline siedziała jak skamieniała, Rory mocniej chwycił kierownicę.

- Kto mówi?

- Elena! - krzyknęła kobieta. - Elena Casteel.

- Skąd pani wie, że mąż został porwany?

Rory zadawał pytania spokojnym, łagodnym głosem, mocno kontrastującym z paniką rozmówczynie.

- Juan dzwonił! Powiedział, że porwali go razem z kierowcą! Potem ktoś przejął telefon i zagroził, że jeśli nie zapłacę im dwudziestu milionów euro, znajdę głowę Juana na schodach domu!

- Kiedy był ten telefon?

- Pół godziny temu. Może mniej. Nie wiem - głos jej się załamał i przeszedł w szloch. - Powiedzieli, że nie mogę zawiadomić policji ani mediów, bo zabiją Juana, jeśli to zrobię!

Rory miał dość doświadczenia z porwaniami bardzo ważnych osobistości, by wiedzieć, że sprawcy nie zawahają się przed spełnieniem gróźb. Mógł się też założyć, że monitorują telefony i słyszą każde słowo żony.

- Znalazłam pańską wizytówkę na biurku męża - załkała. - Mówił mi, że pan jest naprawdę dobry, señor Burkę. Że znakomicie zna się pan na tym ponurym biznesie. Proszę, bardzo proszę, musi mi pan pomóc!

Rory nie przypominał spanikowanej kobiecie, że jej mąż wykupił ubezpieczenie na wypadek porwania i konieczności złożenia okupu. Ani że specjalizująca się w tym firma ubezpieczeniowa najprawdopodobniej przyśle zespół ekspertów, którzy się zajmą negocjacjami. Lepiej nie ostrzegać nikogo podsłuchującego, że Casteel przygotował się na taką ewentualność. To tylko wydłużyłoby rokowania.

Poza tym z doświadczenia wiedział, że najważniejsze są pierwsze godziny po porwaniu. Oszołomieni i zrozpaczeni domownicy często podejmowali działania fatalne w skutkach. Dopóki nie przybędzie zespół negocjacyjny, nieszczęsna kobieta będzie potrzebowała obok siebie kogoś wiedzącego, jak sobie radzić z taką grą o życie.

- Oczywiście, że pomogę.

Szybko się rozejrzał. Minęli drogę szybkiego ruchu prowadzącą do centrum, lecz kolejny zjazd był tuż, skręcił więc w niego z piskiem opon. Caroline musiała się gwałtownie zaprzeć.

- Jestem w drodze do Barcelony - powiedział do Eleny. - O jakieś dwadzieścia minut od pani. Mąż miał rację -mówił spokojnie, próbując nieco złagodzić jej szok. - Mam duże doświadczenie w takich nieprzyjemnych sprawach. Pomogę pani przez to przejść.

- I Juan bezpiecznie wróci do domu?

Nie mógł składać obietnic, których dotrzymania nie był pewien.

- Proszę nie zajmować linii telefonicznej. Jeśli porywacze zadzwonią, zanim dojadę, proszę zapisać instrukcje, jakie pani przekażą. Słowo w słowo, to bardzo ważne. Zrozumiała pani?

-Tak.

- Czy w domu jest ktokolwiek, kto mógłby pomóc?

- Tylko służba, a boję się im powiedzieć o Juanie. Mogą zadzwonić do kogoś, powiedzieć coś.

- Przyjaciele? Krewni?

- Nie, nie! - W jej głosie było słycać desperację. - Nie ma nikogo!

- W porządku, Eleno. Przrzekam, że nie zostanie pani z tym sama.

Zobaczył, jak Caroline gwałtownie pokazuje mu znaki nad ulicą. Szybko skręcił.

- Chwileczkę, właśnie skręcam w Avenue Meridiana. Będę niedługo.

Wyjąkała podziękowanie i rozłączyła się. Rory zatrzasnął aparat, myśląc intensywnie.

Z czasu spędzonego z Juanem Castelem wiedział, że potentat bardzo zwracał uwagę na bezpieczeństwo. Ani jego, ani żony zdjęć nigdy nie publikowano w prasie. Nigdy nie robił tego samego o tej samej porze, codziennie zmieniał drogę do pracy. Wysłał szofera na specjalny kurs i zainstalował zaawansowane systemy w domu i biurze. Fakt, że porywacze poradzili sobie z tymi wszystkimi podjętymi środkami, wskazywał na dobrze zaplanowaną akcję, nie na przypadkowe wykorzystanie okazji przez zwykłych ulicznych opryszków.

. Okup w wysokości dwudziestu milionów euro wykluczał też raczej akcję o charakterze politycznym, bo w takich przypadkach zazwyczaj domagano się czyjegoś uwolnienia. „Zazwyczaj” stało się bardzo często używanym słowem, bo coraz więcej terrorystów

wykorzystywało porwania za sowite okupy jako źródło finansowania swojej podstawowej działalności.

Musiał porozmawiać z Eleną i dokładnie poznać szczegóły żądania okupu, zanim będzie mógł ocenić sytuację. A jeszcze wcześniej musiał odsunąć Caroline jak najdalej od tej sprawy.

Jeden rzut oka na jej ściągniętą szokiem twarz uświadomił mu, że słyszała dość, by dokładnie wiedzieć, co się dzieje.

- Podrzucę cię do hotelu - powiedział zdecydowanie. - Weźmiesz taksówkę na lotnisko. Kiedy tam dotrzesz, wycofaj moją rezerwację i powiadom firmę samochodową, że zatrzymuję wóz bez podania terminu zwrotu.

Zmarszczyła brwi. Rory zgadł, co powie, zanim jeszcze zgłosiła propozycję.

- Nie chcę się pchać, gdzie nie trzeba, ale może mogłabym pomóc. Jak rozumiem, Elena jest sama. Mogłabym ją przynajmniej trzymać za rękę, gdy ty będziesz sobie radził z porywaczami.

- Nie chcę, żebyś była zamieszana w tę sprawę, Caroline. Napięcie, szarpiący nerwy strach... To nawet doświadczonych zawodowców potrafi wywrócić na lewą stronę. A jeśli coś pójdzie źle - dodał, zaciskając szczęki - nocne koszmary nie dadzą ci spokoju.

Skinęła głową, potwierdzając, że zdaje sobie sprawę z ponurych ewentualności, lecz się ich nie wystraszyła.

- Znam smak napięć i strachu. Na pewno nie aż takich, ale wystarczająco, żeby się nie rozsypać.

Jej spokojne oświadczenie przedarło się przez galopujące mu w głowie myśli. Zerknął na nią badawczo.

- Pozwól mi pomóc, Rory.

Zacisnął dłonie na kierownicy, rozważając możliwości. Przydałaby się druga para oczu i uszu. Mógł też potrzebować kogoś do przekazywania wiadomości z dala od zagrożonego domu.

- Dobrze, zostajesz. Pod jednym warunkiem: jeśli zrobi się źle, będziesz wykonywać moje polecenia natychmiast, bez protestów ani pytań.

- Zgoda.

Piętnaście minut później Rory rozpoznał dziewiętnastowieczną rezydencję, w której

razem z Caroline byli na kolacji.

Minął cały kwartał podobnych siedzib, zauważył, jak są blisko siebie, jedynie z wąskimi przejazdami prowadzącymi do dawnych powozowni, obecnie służących za garaże. Przyjrzał się też uważnie wszystkim pojazdom zaparkowanym na wysadzonej drzewami alei.

Wieść o porwaniu nie rozeszła się. Nigdzie nie było radiowozów ani dziennikarzy. Żadnych samochodów dostawczych czy furgonetek z przyciemnionymi szybami. Ani jednego podejrzanego pojazdu.

Jednak gdy parkował o pół kwartału dalej, mrowiła go skóra na szyi. Porywacze na pewno obserwowali dom. Musieli. Albo mieli w środku człowieka pilnującego żony. Na myśl o tej możliwości aż się skręcił w środku.

- Jesteś pewna, że chcesz w tym uczestniczyć? - spytał Caroline, gdy wysiedli z bmw. - Jeszcze możesz złapać taksówkę i swój lot do Stanów.

- Jestem pewna.

Po raz kolejny uważnie popatrzył wzdłuż ulicy. Po drugiej stronie szła młoda opiekunka, prowadząc za rączkę małe dziecko. Po tej stronie dwie starsze kobiety maszerowały ramię w ramię. Zakutane, mimo dobrej pogody, w płaszcze, szale i kapelusze, trzymały głowy blisko siebie, gadając bez przerwy. Nieco dalej ogrodnik przycinał żywopłot przed rezydencją.

Spokój, normalność. Jakże zdradziecka atmosfera.

- Będzie tak - zwrócił się do Caroline, gdy podeszli do rezydencji Casteelów. - Porywacze mogą mieć kogoś w środku. Kogoś, kto dostarczał im informacji o zwyczajach Juana i planach podróży. Będziemy musieli dokładnie sprawdzić całą służbę. Dopóki nie zostaną prześwietleni, uważaj na każde słowo.

Zbladła nieco, ale skinęła głową.

- Będę.

Mając nadzieję, że nie naraża jej na niebezpieczeństwo, wcisnął dzwonek.

Kamery obejrzały ich i Elena Casteel sama im otworzyła. Dystygowana gospodyni zamieniła się w roztrzęsioną, bladą jak ściana starszą panią. Nie zdziwiła się obecnością Caroline.

- Odesłałam służbę do domu - poinformowała, ściskając chusteczkę w drżącej dłoni. -



Kucharza, pokojówkę, ogrodnika... Powiedziałam im, że źle się czuję. Tak... Dobrze zrobiłam?

- Bardzo dobrze, ale będziemy musieli z nimi później porozmawiać. Potrzebne mi są też ich nazwiska i adresy do sprawdzenia w bazach danych.

- Chyba nie myśli pan... Nie może pan... - Pobladła jeszcze mocniej, mnąc chusteczkę. - Nasz kucharz jest z nami już dziesięć lat. Paolo, ogrodnik, trzy czy cztery. Pokojówka. .. Maria... to jego córka.

- Musimy po prostu sprawdzić wszystko - powiedział łagodnie Rory. - Może usiądziemy? Chciałbym, żeby mi pani powtórzyła dokładnie tamtą rozmowę telefoniczną. Słowo w słowo.

- Tak. Oczywiście.

Elena zaprowadziła ich do saloniku udekorowanego lampami od Tiffanyego, umeblowanego w stylu art deco. Dłonie jej drżały, wciąż jednak próbowała grać rolę dobrej gospodyni. W tej sytuacji wychodziło jej to dość żałośnie.

- Może napijecie się herbaty? Właśnie miałam wstawić wodę. Tak żeby się nieco uspokoić - dodała z grymasem, który miał być uśmiechem.

Ta pełna godności, lecz kompletnie nieudana próba okazania odwagi chwyciła Caroline za serce.

- Może ja się tym zajmę? - zaproponowała. Oczy Eleny wypełniły się łzami wdzięczności.

- Bardzo dziękuję. Kuchnia jest zaraz za jadalnią. Herbata jest w puszcze. Kawa też. Również espresso, jeśli pani woli.

Kuchnia Casteelów bezbłędnie łączyła w sobie świetność belle époque ze współczesną funkcjonalnością. Podobnie jak w innych pomieszczeniach sufit znajdował się na ponad trzech metrach, pośrodku widniał ozdobny medalion. Kinkiety z kutego żelaza miały abażury w stylu Tiffany'ego, pasowały do stołu i krzeseł we wnęce okiennej wychodzącej na ogród.

Caroline odłożyła torebkę na blat, na którym znajdował się zestaw przypraw i lśniący ekspres do kawy. Przyjrzała mu się z tęsknotą, ale Elena wyraźnie prosiła o herbatę.

Szybko przeszukała szafki, znajdując puszkę z herbatą, grzałkę do wody, tacę na filiżanki i spodeczki.

Kroiła cytrynę na plasterki, gdy tuż obok odezwała się komórka. Aż podskoczyła z

zaskoczenia.

Przez chwilę myślała, że to porywacze chcą się skontaktować z Eleną, dopiero po chwili zrozumiała, że dzwoni jej własny aparat.

Dusząc przekleństwo, rzuciła nóż i wygrzebała telefon z torebki. Gdy sprawdzała numer na wyświetlaczu, przez myśl przebiegały jej ponure ostrzeżenia Rory'ego.

O Boże! Sabrina!

Caroline kompletnie zapomniała o swojej obietnicy skontaktowania się ze współniczkami, zanim wsiądzie do samolotu do Stanów.

Aparat brzęczał niecierpliwie. Rozpaczliwie kombinując, co powiedzieć, a czego nie, Caro otworzyła klapkę.

- Witaj, Sabrino.

- Cześć dziewczyno! Umieramy z ciekawości. Jak poszła ostatnia noc?

Ostatnia noc? Przez chwilę miała pustkę w głowie, potem przypomniała sobie rzymską willę i gitarzystę. Wydarzenia dzisiejszego poranka kompletnie zagłuszyły wspomnienia z nocy.

- Słuchaj, to kiepski moment. Opowiem wam wszystko gdy...

- O nie! Nie wykręcisz się tak łatwo! Daj spokój, Caro, i zeznawaj. Co postanowiłaś zrobić z duchem z przeszłości?

- Naprawdę nie mogę teraz o tym mówić.

- Dlaczego? Jest z tobą?

- Nie. To znaczy tak. Posłuchaj, Sabrino, nie lecę dziś do domu.

-He?

- Coś się wydarzyło. Opowiem, kiedy będę mogła. Teraz tylko poproszę cię o przysługę: odwołaj moją rezerwację, Rory'ego też. Bardzo proszę.

Ślad desperacji w jej głosie dotarł do przyjaciółki.

- Zajmę się tym - powiedziała powoli Sabrina - ale...

- Muszę kończyć. Zadzwoń, kiedy będę mogła. Zatrzasnęła aparat. Oparła się na blacie i kilkakrotnie odetchnęła głęboko. Cała się trzęsła. Pół godziny w stresującej sytuacji i już miała nerwy napięte jak postronki. A to przecież nie jej mąż był zakładnikiem!

Zastanawiając się, jak Elena poradzi sobie z tak ciężką próbą, wróciła do starannego krojenia cytryny.

Pół godziny później Rory wyciągnął z Eleny wszystkie szczegóły, jakie się dało. Zostawił ją z Caroline, sam przemieścił się na tyły i przeskoczył przez ogrodowy mur. Gdy znalazł się poza zasięgiem wszelkiego podsłuchu, wykonał trzy telefony.

Pierwszy do Interpolu. Choć porywacze żądali od Eleny, by nie powiadamiała policji, Rory wiedział, że stróże porządku i tak by się zaciekawili nagłym wypłaceniem dużej sumy, potrzebnej na okup. Albcrt Boudoin, szef Wydziału Porwań i Okupów w Interpolu, był właściwym człowiekiem do współpracy z władzami hiszpańskimi i trzymania ich z daleka.

Drugi do Lloyd's of London, ubezpieczyciela Juana Casteela. Trzeci do Harryego Martina. Gdy wrócił, usadowił się razem z kobietami w zalanej słońcem kuchni. Jego żelazny spokój pomógł im przetrwać wlokące się, pełne napięcia godziny. Koło trzeciej po południu odezwała się komórka Rory'ego. Sprawdził numer i poszedł do tylnego wejścia. Wrócił po chwili z dwoma mężczyznami i kobietą.

Po dokładnym, elektronicznym sprawdzeniu całego domu i linii telefonicznych specjaliści z Lloyda unieszkodliwili domowej roboty podsłuch. Potem usiedli do kolejnego, wnikliwego przejrzania znanych dotychczas szczegółów.

- Zgadza się z panem Burkiem - podsumował dowódca zespołu. - To nie wygląda na przypadkowe porwanie. Cała akcja została starannie przygotowana i wykonana.

Drugi telefon od porywaczy potwierdził tę opinię.

Zadzwonili tuż po dziesiątej wieczorem. Głos w słuchawce był zniekształcony elektronicznie, pozbawiony jakichkolwiek charakterystycznych cech. Rozmówca, nie wiadomo czy mężczyzna, czy kobieta, absolutnie odmówił negocjacji w sprawie wysokości okupu i pozostawił dokładne instrukcje dotyczące nominałów, przypadkowości numerów banknotów i sposobu ich dostarczenia.

Jako dowód dobrego zdrowia zakładnika Juan dostał słuchawkę na kilkanaście sekund. Dość, by jednocześnie żonę pocieszyć i rozedrzeć jej serce.

- Kocham cię, querida. Cokolwiek się wydarzy, zawsze pamiętaj, że cię kocham.

Po tym telefonie Elena się załamała. Na szczęście w zespole z Lloyda był psycholog. Zajął się łkającą kobietą w czasie, gdy Rory z pozostałymi jego członkami przygotowywał się do dostarczenia okupu.

Caroline starała się nie wchodzić im w drogę, okazało się jednak, że ma sporo roboty. W miarę upływu godzin zespół potrzebował coraz więcej kawy. I kanapek. Całych

kopiastych tac kanapek. Na szczęście kucharz Casteelów dobrze zaopatrzył spiżarnię w liczne bochenki pachnącego hiszpańskiego chleba, a lodówkę w mnóstwo wędlin i serów.

O trzeciej nad ranem Caroline mogła się poruszać po kuchni z zamkniętymi oczami. O czwartej zaczęła odczuwać skutki długiego dnia i dwóch - nie, trzech - wyczerpujących nocy. Przygarbiona przysiadła na stołku i sączyła powoli kawę z ekspresu.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Słyszając komentarz Rory'ego, obróciła się na stołku. Już kilka godzin temu zrzucił kurtkę, rękawy niegdyś nieskazitelnie czystej koszuli miał podwinęte, twarz ściągniętą wyczerpaniem.

- Ty wcale nie lepiej - odcięła się.

- Wiem. Elena zaproponowała nam pokój gościnny. Może pójdiesz na górę i zdrzemniesz się trochę?

- A ty idziesz?

- Za jakiś czas. Może.

- Jak się Elena trzyma?

- Twierdzi, że nie może spać i nie chce. - Ruchem głowy wskazał trzymaną przez Caro filiżankę. - Jest jeszcze trochę?

- Owszem. Siadaj, przygotuję ci. Z mlekiem czy bez?

- Czarną.

Gdy ekspres z sykiem skończył wypływać strumień ciemnego, wrzącego napoju, Caro posunęła filiżankę po blacie. Rory sięgnął po nią z wdzięcznością.

Delikatna siateczka blizn przyciągnęła jej wzrok. Teraz rozumiała, jak mógł gołymi rękami rozbić szybę samochodu. Casteelowie nawet nie byli jego klientami, a jednak nie zawahał się ani przez chwilę, odpowiadając na rozpaczliwą prośbę Eleny o pomoc.

Był dla niej taki dobry i niosący pociechę. Jak powiedziała Sondra Jennings, był takim mężczyzną, którego każdy by chciał zatrudnić do pilnowania tyłka.

Mężczyzną, który, gdyby lata temu dowiedział się o dziecku, stałby ramię w ramię z Caroline podczas jej konfrontacji z rodzicami. Z pastorem. Ze szkolnym psychologiem. Z naśmiewającymi się z niej kolegami.

Właśnie tutaj, w słabo oświetlonej kuchni Casteelów, siedząc koło skulonego Rory'ego, poczuła, jak rozpływają się w nicość ostatnie resztki żalu związanego z

przeszłością.

O dziesiątej rano Elena, Rory i jeden z członków zespołu z P&O pojechali do banku. Jego dyrektor został już uprzedzony przez Lloyd's of London. Miał przygotowane żądane nominały euro.

O trzeciej po południu Rory szykował się do dostarczenia okupu.

Caroline oczekiwała, że negocjacje będą trwały sporo dłużej. Lecz w ciągu ostatnich trzydziestu godzin przekonała się, jak bardzo jej hollywoodzkie wyobrażenie o takich sytuacjach odbiegało od rzeczywistości. Jedynym celem Wydziału Porwań i Okupów było jak najszybsze odzyskanie klienta żywego.

Dlatego Interpol i policja trzymały się na uboczu, negocjacje nie przeciągały się i nikt, a szczególnie ludzie z Wydziału, nie zaproponował jakiegoś karkołomnego sposobu odbicia zakładnika.

Oczywiście nikt też nie zamierzał, ot tak, po prostu oddać żywej gotówki. Ludzie z Interpolu spryskali banknoty specjalnym środkiem, który w niewidoczny sposób utrwał wszelkie odciski palców. W przeznaczonej na pieniądze torbie na kółkach zamontowano mikroskopijny układ śledzący.

Technik z P&O wmontował też mikrokamerę w zausznik przeciwsłonecznych okularów Roryego. Urządzenie przesyłało drogą satelitarną zaskakująco klarowny obraz. Tak dobry, że Caroline zobaczyła swoją twarz z najdrobniejszymi szczegółami, gdy Rory odciągnął ją na bok, mówiąc jej, żeby się nie martwiła.

- Gadanie! Wciąż nie wiem, dlaczego to ty masz dostarczyć okup - mruknęła buntowniczo, obrzucając pozostałych spojrzeniem. - To są zawodowcy.

I bez ironicznego spojrzenia Rory'ego wiedziała, jak idiotycznie to zabrzmiało. To był jego zawód. Dowodził od pierwszej chwili i reszta zespołu przyjęła to bez wahania.

- Naprawdę... Naprawdę sądzisz, że wypuszczą Juana i kierowcę?

- To jest interes, Caroline. Te dranie to zawodowcy. Wiedzą, że firmy ubezpieczeniowe przestaną płacić okupy, jeśli zakładnicy nie będą zwracani, jak obiecano. Dlatego mniej niż dwa procent porwań, w których pośredniczy P&O, kończy się śmiercią.

- Skoro tak mówisz.

Właściwie to powtórzył to już kilkanaście razy. Jakoś dziewięćdziesięcioośmio procentowe prawdopodobieństwo sukcesu teraz nie dodawało Caroline otuchy tak jak

wcześniej. Zwłaszcza gdy się przyglądała, jak zakłada uprzęż z kaburą pod pachą i drugą na kostce.

Przeniosła wzrok na Elenę, siedzącą po drugiej stronie pokoju, bladą jak ściana i odrętwiałą. Caro zdawała sobie sprawę, że gnębiące ją samą strach i napięcie są niczym w porównaniu z emocjami szarpiącymi żoną zakładnika, ale wystarczyły, by ująć twarz Rory'ego w obie dłonie.

Poczuła drobne ukłucia kielkującego zarostu. Szmaragd na jej palcu lśnił mocno pomimo słabego oświetlenia. W ogóle nie zwróciła uwagi ani na jedno, ani na drugie. Skupiona była wyłącznie na nim.

Przemawiała do niego cicho, ale z ogromnym naciskiem.

- Obiecuj mi, że będziesz ostrożny.

- To oczywiste, nawet nie warto strzepić sobie języka.

- A kiedy skończysz z porywaczami, wrócimy do naszych negocjacji.

Uśmiechnął się. Poznała to po pogłębieniu się kurzych łapek w kącikach jego oczu. Wilczych ślepiów, pomyślała z zaciśniętym gardłem, wypatrujących zdobyczy.

- Właśnie. Wciąż zostały nam do dopracowania warunki naszego związku przez ćwierć świata.

- Może nie aż na taką odległość - mruknęła, wspinając się na palce.

- Jak to?

- Porozmawiamy, kiedy będzie po wszystkim. - Pocałowała go mocno. - Wróc do mnie, Rory. Tym razem musisz wrócić - poleciła zdecydowanym głosem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez następne trzy godziny nie była w stanie głębiej odetchnąć. Nie odrywała wzroku od ekranu przekazującego obraz z kamery w okularach Rory'ego, a strach tkwił jej w gardle kolczastą kulą.

Stosując się do poleceń porywaczy, przemieszczał się po całej Barcelonie. Dawano mu po kilka minut na zdobycie taksówki albo na dobiegnięcie do metra i złapanie konkretnego składu, wszystko w godzinach szczytu, w tłoku. Dwóch ludzi z P&O dało radę nadążyć za nim aż do metra. Zgubili go dopiero w tłumie ponad dziewięćdziesięciu tysięcy rozszalałych kibiców piłkarskich, udających się na stadion Camp Nou.

Kiedy w końcu zostawił pieniądze we wskazanym miejscu i odszedł, Caroline miała jednocześnie ochotę rozplakać się z ulgi i wrzeszczeć z radości. Tylko błada jak papier twarz Eleny ją przed tym powstrzymała. Za to gdy w końcu wrócił do domu Casteelów, uściskała go z całej siły.

Potem nie było już nic do roboty oprócz pilnowania komputerów, za pomocą których pracownicy P&O śledzili nadajnik w torbie z pieniędzmi, wędrujący chaotycznie po całej północnej Hiszpanii. W miarę mijania kolejnych godzin milczenie stawało się coraz bardziej ponure. Caroline bezustannie przyrządzała dzbanek kawy za dzbankiem. Elena była już na skraju załamania nerwowego, wciąż jednak stanowczo odmawiała przyjęcia środków uspokajających czy położenia się dla odpoczynku.

Potem, tuż przed północą, odezwał się telefon, na który wszyscy czekali. Kierowca tira trafił na Juana Casteela i jego kierowcę wędrujących wzdłuż pustej, bocznej szosy. Mieli zaklejone taśmą oczy, usta i ręce, byli posiniaczeni od upadków, poza tym nic im nie było.

Rory i trzech pracownicy P&O popędzili do samochodów, by przywieźć byłych zakładników. Caroline i czwarty z nich zostali z zapłakaną Elena.

O ósmej rano udział Rory'ego w walce o czyjeś życie się skończył. Poza, o czym poinformował Caroline ponuro, potężną papierkową robotą.

Zespół Lloyd's of London miał dużą nadzieję na wytropienie i odzyskanie okupu.

Interpol czekał na choćby ślad ujawnienia się ze strony porywaczy, żeby ich dopaść. Psychologowie zajęli się Elena, Juanem i jego kierowcą, by pomóc im poradzić sobie z potraumatycznym stresem. W odpowiedzi na telefon Roryego Harry Martin przysłał dwóch doświadczonych agentów z zadaniem poprawienia zabezpieczeń Casteelów i ochrony przed kolejnymi próbami porwania.

- Teraz zostało nam już tylko złożenie formalnych oświadczeń - powiedział z satysfakcją zmęczony Rory do Caroline.

- Nie mam pojęcia, co mogłabym dodać do sprawozdań całego zespołu.

- Byłaś tutaj cały czas. Wszystko widziałas i słyszałaś. Mogłaś spostrzec szczegóły, które inni przegapili.

- Mało prawdopodobne. A biorąc pod uwagę, jak się czuję, twój znajomy z Interpolu niewiele ze mnie zdoła wydusić.

- Powiedziałem Albertowi, że jesteśmy wykończeni. Zgodził się skontaktować z nami jutro. Myślisz, że uda ci się znaleźć dla nas jakiś pokój w hotelu, gdzie moglibyśmy paść na twarz?

- Załatwione.

Zadzwoiła do tego samego hotelu, w którym już mieszkali. Ku jej gigantycznej uldze hotel Grand Royale miał wolny apartament i mógł przyjąć gości mimo wczesnej pory. Gdy wciąż pochlipująca, lecz szczęśliwa Elena usłyszała, że wybierają się do hotelu, zaproponowała im, żeby zostali u nich w domu. Rory odmówił z uśmiechem.

- Potrzebujecie z Juanem spokoju we dwoje.

- Ale zobaczymy się jeszcze, zanim wyjedziecie z Barcelony?

- Oczywiście.

Gdy Caroline wyszła razem z Rorym z rezydencji Casteelów, poczuła nagłą, dziwną dezorientację. Mrugając niepewnie, rozejrzała się dookoła.

Słońce przeświecało przez korony kasztanowców, malując przedziwne wzory na całej ulicy. Wśród liści świergotały ptaki. Opiekunki pchały wózki z dziećmi, plotkując zawzięcie.

Tak normalnie. Tak spokojnie. Jakby dramatyczne wydarzenia minionych czterdziestu ośmiu godzin w ogóle nigdy nie miały miejsca, jakby nigdy nie było tamtego przerażenia, niepewności, napięcia.



Zajęła miejsce w bmw i pozwoliła głowie opaść na zagłówek. Przetrwiała te dwie doby napędzana lękiem, kawą i kilkoma krótkimi drzemkami. Teraz, gdy Juan był bezpieczny i radość z jego powrotu zaczęła stopniowo blednąć, zmęczenie brało górę. Przekrzywiła głowę w lewo. Rory wyglądał równie kiepsko, jak ona. Jeśli w ogóle spał przez ten czas, to nie miała pojęcia kiedy.

- Dzięki Bogu hotel może nas przyjąć od razu - westchnęła. - Marzę o kąpieli, potężnym śniadaniu podstawionym pod nos przez służbę i przynajmniej dwunastu godzinach w łóżku.

- Dwunastu?

- Przynajmniej kilka z nich muszę przespać - ostrzegła. - Ty zresztą też!

- Zobaczymy, jak to będzie.

Mogła się spierać, ale zaczęła odpływać w sen.

Rory obudził ją przed hotelem. Trzymając ją mocno pod rękę, poprowadził na wpół śpiącą przez obrotowe drzwi. Zamrugła niepewnie na widok kwiaciarni. Miała wrażenie, że rozpoznała w głębi szyld Cartiera. Jednak krótki postój przy recepcji kompletnie jej umknął. Tak samo jak jazda windą do pokoju.

- Chodź, kochanie. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Rory prowadził ją jakby znajomym korytarzem. Za nimi posuwał się bagażowy z walizkami i torbami, spakowanymi chyba wieki temu na podróż do Stanów.

Caroline zmieniła swoje priorytety jeszcze przed wejściem do apartamentu.

- Zapomnij, co mówiłam o kąpieli i śniadaniu.

Ignorując widok katedry, który tak ją oczarował ich pierwszej nocy w Barcelonie, skierowała się prosto do sypialni. Ustała na nogach tylko na tyle długo, żeby wyciągnąć komórkę i zostawić nagranie w poczcie głosowej Sabriny.

- Jestem w hotelu Grand Royale w Barcelonie - wymamrotała. - Nie dzwoń. Odezwę się. Jutro. Po rozmowie z Interpolem.

Może nie trzeba było dodawać tej ostatniej informacji, pomyślała, zamykając aparat. A co tam. Już za późno, a była zbyt zmęczona, żeby sklecić jakieś sensowne zdanie.

Zrzuciła buty, żakiet i padła na łóżko.

Gdy się ocknęła, przez zaciągnięte zasłony przedostawało się niewiele światła. Rory leżał obok niej, na plecach, oddychając równomiernie.

Rozebrał się do szortów, pomyślała Caroline leniwie. Ją też rozebrał. A przynajmniej

założyła, że to on to zrobił, bo nic nie pamiętała i właściwie niewiele ją to obchodziło. Objęła go w pasie, przytuliła się do niego i znów zapadła w błogą nieświadomość.

Gdy obudziła się po raz drugi, w pokoju było ciemno, a łóżko obok było puste. Spod drzwi do salonu dobiegał słaby blask. Przekręciła się i popatrzyła na zegarek na nocnym stoliku. Uśmiechnęła się lekko. Prawie dokładnie dwanaście godzin.

Przeciągnęła się, aż jej strzebiło w stawach, i wytoczyła się z łóżka. Znalazła ubranie przewieszane przez oparcie krzesła. Walizka, razem z torebką i teczką, stały na półce przy nogach łóżka.

Powinna zadzwonić do współpracownic. Zdawała sobie sprawę, że jej tajemnicze wypowiedzi z kilku ostatnich dni musiały je zaniepokoić. Lecz burczenie w brzuchu przesłoniło wszystko jedną myślą: Jeść! Cokolwiek, byle szybko!

Błyskawicznie wyszarpnęła przybory toaletowe i popędziła do łazienki. Szybko wynurzyła się stamtąd zawinięta w hotelowy szlafrok i dramatycznym gestem otworzyła drzwi salonu.

- Nakarm mnie!

Rory uniósł głowę znad roboty rozłożonej na biurku.

- Z przyjemnością. Myślałem, że umrę z głodu, czekając, aż się obudzisz.

Miał na sobie spodnie khaki i koszulę z podwiniętymi rękawami, wypuszczoną na wierzch. Nie ogolił się, za to zauważyła z ulgą, że jego oczy straciły zaczerwienioną obwódkę znużenia.

- Idziemy gdzieś, czy zamawiamy do pokoju?

Caro zerknęła w stronę drzwi na taras. Widniał tam ten sam obraz co poprzedniej nocy, gdy tu byli. Mocno oświetlone wieże Sagrady Familii wystrzeliwały w nocne niebo.

Bardzo chciała pokazać Rory'emu więcej ukochanej Barcelony. Liczne restauracyjki, bary tapas, które właśnie się budziły do życia, zwłaszcza te wzdłuż zarezerwowanych tylko dla pieszych, tłumnie odwiedzanych uliczek znanych jako La Rambla.

Tylko że wyjście oznaczało konieczność ubrania się, zrobienia makijażu, czekania nie wiadomo jak długo w zatłoczonej restauracji. Była zbyt głodna, żeby przez coś takiego przechodzić.

- Zamówmy do pokoju. Jeśli jutro wieczorem jeszcze tu będziemy, zabiorę cię do mojej ulubionej restauracji w Dzielnicy Gotyckiej.

- Bardzo mi się to podoba.

Spod papierów na biurku wyciągnął oprawną w skórę książeczkę z emblematem hotelu.

- Zamów, a ja wezmę prysznic i się ogolę. Zrobiłbym to wcześniej, ale prychałaś i mamrotałaś w poduszkę i nie chciałem cię budzić.

- Mamrotałam? Co?

- Większość była niezrozumiała. Ale trochę wyłapałem. Moje imię. Jestem pewien, że drugie brzmiało „strasznie gorący”.

- Zmyślasz.

- Może - uśmiechnął się i przesunął palcami po jej włosach. - A może nie.

Pocałował ją, drapiąc świeżym zarostem, i poprosił o zamówienie dla niego średnio wysmażonego steku ze wszystkimi dodatkami.

Caroline wzięła menu na fotel koło wygaszonego kominka. Podwinęła pod siebie nogi i zagłębiła się w długiej liście.

Liczyła sobie osiemnaście stron, z czego pierwszych pięć poświęcono samym przystawkom.

Po długiej wewnętrznej walce zestawiała zamówienie dla siebie. Odniosła menu na biurko, odłożyła je, odsuwając część papierów, i sięgnęła po słuchawkę, by zadzwonić do obsługi pokojowej.

Zamówiła dla Roryego rozbratel z dodatkami oraz jagnięce kebaby z rożna i pilawem dla siebie. Do tego butelka wybornego czerwonego wina. Oraz tapas. Całe mnóstwo. Piętnaście różnych przysmaków dla ukoronowania ważnego dnia.

- Tapas i wino proszę przysłać od razu - poprosiła. - Łatwiej będzie poczekać na kolację.

- Tak jest, madame.

W brzuchu jej burczało. Odłożyła słuchawkę i zamknęła menu. Gdy układała papiery Roryego, jeden, prawie na spodzie stosu, nagle przyciągnął jej uwagę. Zamrugła, zaskoczona wytłuszczonym tytułem:

Operacja Caroline Walters

- Co, u diabła...

Krzywiąc się, wyciągnęła zadrukowany plik ze stosu. Z osłupieniem czytała kolejne wytłuszczone tytuły rozdziałów: Faza pierwsza - Zlokalizowanie celu Faza druga -

Zaaranżowanie pierwszego kontaktu Faza trzecia - Nawiązanie kontaktu Faza czwarta...

Nie usłyszała, kiedy prysznic został wyłączony, usłyszała natomiast otwierające się drzwi sypialni. Odwróciła się gwałtownie z kartkami w dłoni. Rory, zawinięty w hotelowy szlafrok, w przeciwieństwie do niej był zupełnie zrelaksowany.

- Zamówiłaś? - spytał i spostrzegł jej minę. - Co się stało?

Gdy nie odpowiedziała, niezdolna wydusić choćby słowo, podszedł bliżej.

- Caroline, co się stało? Czy Albert dzwonił? Dopadli porywaczy?

- Nie - zdołała wydusić przez odrętwiałe wargi. - Twój przyjaciel z Interpolu nie dzwonił. I tak, złożyłam zamówienie. Znalazłam przy tym to.

W sztywnej ręce wyciągnęła plik papierów. Rory zerknął na nie i skrzywił się tylko.

- O rany, jest zupełnie inaczej, niż to wygląda.

- Doprawdy?

Przywołując całe swoje niestety bogate i ciężko okupione doświadczenie w radzeniu sobie z przykrościami, opanowała szalejące w niej emocje.

- W takim razie lepiej mi wytłumacz, co to jest.

- W armii nazywaliśmy to planami operacyjnymi. Ponownie przerzuciła kartki. Wpadły jej w oczy różne zwroty. Niektóre wydrukowane, inne dopisane ręcznie. Gdy znów podniosła wzrok, serce zmieniło jej się w piersi w lodowy blok.

- Czyli wszystko zostało zaplanowane. Każde słowo. Każde dotknięcie. To... to wyszukane uwodzenie w walentynki.

Nie mógł zaprzeczyć, miała to czarno na białym.

- Ja tylko zaplanowałem początek. Odnalezienie ciebie. Podpisanie kontraktu na konferencję z EBS. Lot do Hiszpanii, by...

- By załatwić moją sprawę - wyszeptała Caroline.

- Mówiłem ci, że zamierzałem ci wynagrodzić swoje dawne przewiny. Nigdy tego nie ukrywałem.

- To prawda.

- Jednak z twojego powodu wszystkie te plany wzięły w łeb. Nie trzymałem się ich już od tej nocy na plaży, gdy prąd prawie cię porwał. Tymczasem to ja utonąłem... w tobie. Już dawno stało się więcej, niż kiedykolwiek zamierzałem, Caroline. Dużo więcej. Ja...

Przerwało mu pukanie do drzwi.

- Tapas - wychrypiała, czując się, jakby miała w gardle tłuczone szkło. - Poprosiłam, żeby przyniesiono je od razu.

Rory zdusił przekleństwo i podszedł do drzwi. Jednak za nimi zobaczył nie służbę, tylko wysoką, długonogą blondynkę w towarzystwie jeszcze trzech osób.

- Pan Burke? - spytała ostro. - Tak

- Gdzie jest Caroline? - Jest...

- Jestem, jestem!

Po raz drugi tego wieczoru całkowicie zaskoczona Caro gapiła się na swoje współniczki wpadające do pokoju.

- Sabrina! Devon! Co wy tu robicie?!

- A jak myślisz? - prychnęła Sabrina, ściskając ją w objęciach.

Najwyższa spośród trzech współniczek nosiła grzywę jasnoblonde loków, miała nogi długie na milę i pogodną osobowość walczącą w życiu z kilkoma tylko przeciwnościami - w tym z apodyktycznym ojcem, który bezustannie i bezskutecznie usiłował przerobić ją w żeński odpowiednik samego siebie.

- Wystraszyłaś mnie śmiertelnie tymi swoimi „nie mogę teraz rozmawiać” i „nie dzwoń”. A ta wzmianka o Interpolu po prostu mnie dobiła. Musisz się poważnie wytłumaczyć, dziewczyno.

Devon była nie mniej poruszona.

- Sabrina dopadła mnie w Londynie. Firmowy odrzutowiec Cala przywiózł nas do Barcelony. Prosto z lotniska przyjechaliśmy tutaj.

Devon, kilka centymetrów niższa od Sabriny, choć ani trochę mniej energiczna, dopiero niedawno zdołała znów zawierzyć swemu sercu. Zawdzięczała to mężczyźnie, który wszedł za nią do apartamentu. Cal Logan miał wyjątkowy dar perswazji.

- Cześć, Caroline. - Przyjrzał się jej błękitnymi, roziskrzonymi oczami. - Wszystko w porządku?

Nie musiała odpowiadać, wciąż ściskając w dłoni siedmioetapowy plan uwodzenia Rory'ego. Wzruszyła bezradnie ramionami. Cal poklepał ją uspokajająco po łopacie.

- Nie przejmuj się. Każdy problem pomogę ci rozwiązać. Całkiem przytłoczona niespodziewanymi wydarzeniami wcisnęła pogniecione kartki do kieszeni szlafroka i zwróciła się do czwartego gościa.

- Ty musisz być Marco.

Przystojny jak sam diabeł włoski chirurg, który niecały miesiąc temu zwałił Sabrinę z nóg - dosłownie! - uśmiechnął się potwierdzająco.

- W rzeczy samej. Miło cię w końcu poznać. Rina mnóstwo o tobie opowiadała.

- Mnie o tobie też.

Teraz, gdy Sabrina się przekonała, że Caroline żyje i nawet potrafi myśleć, jej wojowniczość powróciła z całą gwałtownością. Odwróciła się do Rory'ego i otworzyła ogień ze wszystkich dział.

- Kiedy Caro powiedziała mi, że to ty jesteś tym draniem, który zrobił jej dziecko w liceum, zaoferowałam się, że przylecę do Hiszpanii i skopię ci j... powiedzmy, tyłek. Jeśli znów ją skrzywdziłeś albo wplątałeś w jakąś nielegalną działalność, to wiedz, że ona ma czwórkę przyjaciół, którzy z ogromną przyjemnością dołączą się do realizacji mojej uprzedniej propozycji.

Rory uniósł brew i przeniósł wzrok z niej na trójkę stojącą obok Caro. Przyjrzał się nieco dokładniej Devon, oszacował Cala i Marca, potem popatrzył w oczy kobiecie stojącej przed nim z pięściami na biodrach.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odezwał się, wyraźnie mało przejęty. - Sabrina Russo, prawda? Córka Dominica Russo?

- Skąd wiesz... A, tak, robisz w szpiegostwie.

- W ochronie osobistej - sprostował łagodnie. - A pani to Devon McShay.

To było stwierdzenie, nie pytanie, lecz Dev i tak skinęła potwierdzająco głową.

- Przedstawi mnie pani swoim towarzyszom, pani McShay?

- To Cal Logan, prezes Logan Aerospace.

-Która to firma ostatnio nabyła Hauptmann Metal Works w Dreźnie - skomentował Rory. - Widziałem opis w „Wall Street Journal”. - Przeniósł wzrok na Marca. -A pan...?

- Doktor Marco Calvetti - powiedziała Sabrina. - Vel Jego Ekscelencja Don Marco Antonio Sonestra di Calvetti, Dwunasty Książę San Giovanti, Czternasty Markiz Caprielle i tak dalej. Całej długiej listy tytułów jeszcze się nie nauczyłam.

Odrzuciła włosy ruchem głowy i wbiła wzrok w Rory'ego.

- No to już wiemy, kto jest kto. Teraz może byście z Caroline uprzejmie nam wyjaśnili, co się dzieje?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obsługa dotarła do pokoju, zanim którekolwiek z nich zdążyło spełnić żądanie Sabriny.

Gdy kelner rozstawiał tapas i otwierał wino, Rory poszedł do sypialni przebrać się w coś bardziej odpowiedniego. Wrócił po chwili w dzinsach i czarnej koszulce polo.

Caro też myślała o przebraniu się, ale szlafrok okrywał ją od szyi po kostki, a wonie dobiegające od stolika wywoływały niepokojące odgłosy w jej brzuchu.

- Nie jedliśmy... - musiała się chwilę zastanowić - od wczoraj.
- Siadaj - poleciła Sabrina, wskazując fotel palcem. - Możesz opowiadać przy jedzeniu.
- Jest dosyć dla wszystkich. Proszę, częstujcie się.
- Potrzebuję czegoś mocniejszego niż wino - odezwał się Rory.

Sabrina prychnęła niecierpliwie, ale gdy przyniósł butelkę szkockiej i szklaneczki, Marco i Cal wyrazili swoje zadowolenie.

Mężczyźni ustawili siedzenia w półokrąg wokół stołu z jedzeniem. Kiedy wszyscy już mieli szklaneczki lub kieliszki w rękach, a Caroline wzięła na talerz kilka przekąsek, Sabrina zagaiła, z niebezpieczną uprzejmością w głosie.

- Już? - spytała.
- Już - zgodził się Rory. - Lecz zanim zaczniemy, muszę uzyskać wasze przyrzeczenie, że nic z tego, co zostanie powiedziane, nie opuści tego pokoju.
- Dlaczego?
- Prasa jeszcze o tym milczy. Jeśli będziemy mieli szczęście, zostanie tak do czasu, gdy Interpol dopadnie porywaczy.
- Porywaczy? - zachłysnęła się Devon. Z oczami pełnymi niepokoju położyła dłoń na ręce przyjaciółki. - Zostałaś porwana?
- Nie ja. Jeden z klientów Rory'ego. Czy raczej potencjalny klient. Spotkaliśmy go kilka dni temu tutaj, w Barcelonie. Elena, jego żona, skontaktowała się z Rory'm tuż po otrzymaniu telefonu od porywaczy. Jechaliśmy na lotnisko i zawróciliśmy.

Zapadła niewygodna cisza. Cal Logan przerwał ją, stawiając z trzaskiem szklaneczkę

na stoliku.

- Czy ja dobrze rozumiem, Burke?

Caroline wiedziała, że Cal w czasie studiów grał w futbol amerykański. Żadna z przyjaciółek nie widziała go jeszcze tak sprężonego i tak groźnie wyglądającego.

- Twój potencjalny klient zostaje porwany - warknął - a ty wciągasz w to Caro?

Marco też nie był zadowolony. Ściągnął brwi, a jego głos ciął jak skalpel.

- Powinieneś być natychmiast wsadzić ją do samolotu, Burke.

- Nie znam waszych kobiet, panowie - niespiesznie odparł Rory - ale moja ma swoje zdanie. Żeby wsadzić Caroline do samolotu, musiałbym ją związać jak baleron i zamknąć w walizce. Użyte zaimki dzierżawcze wywołały natychmiastową, choć różną reakcję u wszystkich obecnych pań.

Sabrina prychnięciem okazała pogardę dla oczywistego seksizmu, a Devon potrząsnęła głową. Marco i Cal popatrzyli na Caroline.

Ta postanowiła zignorować ich spojrzenia oraz niewypowiedziane pytanie o jej relację z Rorym. Potrzebowała czasu na rozplatanie sprawy tego jego planu operacyjnego, zanim odpowie na takie pytanie. Dlatego też spokojnie nabiła kawałek cebulki na widelec i zjadła powoli, dopiero potem kontynuując opowieść.

- Rory i zespół z Lloyd's of London prowadzili negocjacje z porwaczami, we współpracy z hiszpańską policją i Interpolem. Rory dostarczył okup wczoraj po południu. Juan i jego kierowca, których porwano, zostali uwolnieni późną nocą. A może dziś wczesnym rankiem, nie wiem, straciłam poczucie czasu. Nawet nie jestem pewna, jaki dziś mamy dzień.

- Cóż za okropne przeżycia - pożałowała jej Devon.

- Dla mnie nie było to wcale takie złe, w przeciwieństwie do żony Juana. Muszę jednak przyznać, że było to najbardziej przerażające czterdzieści osiem godzin w moim życiu. - Spojrzała na Rory'ego. - Zwłaszcza gdy przypiąłeś pistolety i pojechałeś z okupem.

- Mnie też za lekko nie było - przyznał z ogromnym niedopowiedzeniem. - Ale ty wcale nie stałaś obojętnie z boku. Bez ciebie Elena nie poradziłaby sobie z najstraszniejszymi dwoma dniami w swoim życiu, kochanie.

Znów to zrobił. Oznajmił swoje prawa do niej w sposób nazbyt oczywisty. Caro zarumieniła się, ale zignorowała to.

- No cóż, jestem szczęśliwa, że to wszystko się już skończyło.



- No myślę - mruknęła Sabrina.

Caro odstawiła talerz na stół i obróciła się do współpracowniczek.

- W tym tygodniu przeszłam wyjątkowe i bardzo bezpośrednie przeszkolenie w dziedzinie osobistego bezpieczeństwa wysoko postawionych osób. Biorąc pod uwagę klientelę naszej firmy, musimy się poważnie zastanowić, jak byśmy zareagowały, gdyby któryś z nich został porwany.

Cal prawie zerwał się z fotela.

- Zareagowały! Też coś!

- Przecież nie mówię, że powinniśmy strzelać do porywaczy. Ale musimy wiedzieć, jak się chronić, gdyby coś się wydarzyło w trakcie pracy z klientem należącym do grupy wysokiego ryzyka.

- Z tego, co mi Rina mówiła o waszej firmie - wtrącił Marco - wszyscy jej klienci do tej grupy należą.

Prawda. Trzej mężczyźni znajdujący się w tym pokoju byli najlepszym przykładem.

- Tak, będziemy musiały o tym pomyśleć - zgodziła się Sabrina, wyraźnie myśląc o czymś innym. - Marco, idźcie z Cal'em na dół i zobaczcie, czy nie uda się zdobyć pokoi dla nas. Weźcie Burkea ze sobą.

- Ja nie muszę iść - zaprotestował Rory. - Już mam pokój.

Ignorując jego sarkazm, machnęła ręką.

- W takim razie idź z nimi na drinka do baru.

- Proszę. - Dev była łagodniejsza. - Musimy porozmawiać z Caro.

Wiedziała o czym. Temat siedział naprzeciwko, czekając na jej decyzję. Powoli skinęła głową.

- Triumwirat wyraził swą wolę - powiedział Cal, wstając z gracją zaskakującą przy jego rozmiarach. - Chodź, Burke. Chcę coś więcej usłyszeć o twoich interesach.

- Oraz o twojej ocenie ryzyka dla naszych kobiet - dorzucił Marco, kierując się do drzwi.

Kiedy się za nimi zamknęły, „ich kobiety” przewróciły oczami. Sabrina i Devon miały miny wskazujące na pełne rezygnacji rozbawienie, lecz Caro spoważniała, gdy jej przyjaciółki rozsiadły się wygodnie. Najwyraźniej oczekiwały odpowiedzi. Caroline sama chciała ją znać.

- Znosi się na długą sesję - powiedziała. - Dev, nalej nam wina, a ja napelnę talerze.

Będziemy jeść, pić i gadać.

- Jak zwykle.

Przez chwilę miała wrażenie, że minionych lat w ogóle nie było. Znow były na uczelni, w malutkim mieszkanku w Salzburgu, i dyskutowały o mężczyznach, planach weekendowych, muzeum, do którego Devon je zawlokła, nadchodzącym międzynarodowym festiwalu muzycznym i o pracy domowej -zazwyczaj w takiej właśnie kolejności.

Czas i dodatkowe lata wcale nie zmieniły priorytetów, przyznała w duchu Caroline, rozgryzając oliwkę z czosnkiem. Mężczyźni wciąż zajmowali szczyt listy.

- Zostałyśmy same, dziewczyny - oznajmiła niepotrzebnie Devon. - Co się dzieje pomiędzy tobą a tym Burkiem?

- Dobrze, zacznę od początku. - Caro odetchnęła głęboko. - Poszłam za twoją radą, Dev, by zaufać instynktowi i zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Wyliczając po kolei, przytrafiły mi się następujące rzeczy.

Uniosła dłoń i zaczęła na palcach odliczać wszystkie szalone wydarzenia ostatniego tygodnia.

- Najgorętszy seks, jaki kiedykolwiek miałam. Romantyczna walentynkowa kolacja pod gwiazdami. Gitarzysta grający flamenco. Pierścionek ze szmaragdem i diamentami. Oświadczyły. Kolejna noc szalonego seksu. Porwanie. I...

- Zaraz, zaraz, zaraz! - Sabrina wyprostowała się jak struna. - Zawracaj, kochana.

-Do?

- Pierścionka.

- I oświadczyn! - zawołała Dev.

- Byłam tak samo oszołomiona jak wy - przyznała Caro. - Zupełnie się nie spodziewałam, choć oboje z Rorym przyznaliśmy, że seks był dobry. No nie, raczej fantastyczny. A potem powiedział prawie dokładnie to co ty, Rino.

- O Boże! Co ja takiego powiedziałam?!

- Że to oznacza, że pomiędzy nami nadal jest ta iskra. Ponieważ bezapelacyjnie ciągnęło mnie do niego, uwaga była celna.

Opowiedzenie wszystkiego, co się wydarzyło pomiędzy nią a Rorym w zaledwie kilku zdaniach, wymagało solidnego wysiłku.

- Przypomniał mi też, że był sam od szesnastego roku życia. Uznał, że czas na żonę, dzieci. Żeby było do kogo wracać - dokończyła cicho.

- To niech sobie weźmie psa - warknęła Sabrina bez cienia współczucia. Devon zareagowała wolniej.

- A co z miłością, Caro? Wiem, że trudno uwierzyć, by mogła się tak szybko pojawić, ale oboje z Calem jesteśmy tego dowodem. Sabrina i Marco też. Może Rory wpadł, zobaczywszy cię po tylu latach? Może jego oświadczyzny płynęły z serca?

- Dużo łatwiej byłoby mi w to uwierzyć, gdybym nie zobaczyła jego planu operacyjnego.

- Czego?

- Zobaczcie. - Wyciągnęła z kieszeni pomięte kartki.

- Operacja Caroline Walters. Czytajcie i płaczcie. Ze mną prawie tak było.

Sabrina wyskoczyła z fotela i pochyliła się nad ramieniem Dev.

- Zlokalizowanie celu! - krzyknęła. - To ty?

- Najwyraźniej.

- Zaaranżowanie pierwszego kontaktu - czytała z niedowierzaniem. - Nawiązanie kontaktu.

- Zmarszczyła brwi.

- Zapewnienie właściwej rekompensaty?

Caroline odetchnęła głęboko.

- Rory powiedział mi wprost, że zawsze spłaca swoje długi. A także, że zawsze zamierzał odkupić swoje przeszłe winy.

- Żeniąc się z tobą?

- Chyba. Może. Och, do diabła, nie mam pojęcia. Znalazłam te kartki dwie minuty przed waszym przyjściem. Nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Wsunęła dłoń we włosy, walcząc z emocjami.

- W pierwszym odruchu chciałam rzucić mu ten plan prosto w twarz. Wtedy przypomniałam sobie, ile wysiłku musiało go kosztować zorganizowanie tej niesamowicie romantycznej kolacji pod gwiazdami. Jaki był dobry dla Eleny. Jak płonę za każdym razem, gdy mnie bierze w ramiona.

Samo opowiadanie o tym zamęcie pomagało, zdała sobie sprawę Caroline. I to bardzo!

- A teraz potrafię tylko myśleć o tym, jak się czułam, gdy pojechał dostarczyć okup.

Przerażenie niemal rozdarło mnie na sztuki. Przysięgam, że nie mogłam oddychać, dopóki nie wrócił.

- Cóż - odezwała się Devon po długim milczeniu. - To całkiem dobrze określa twoje uczucia do niego. Pytanie, czy on czuje to samo do ciebie?

- Wiem, że mnie pragnie. Myślę, że mnie kocha. W jego pojęciu to to samo.

Popatrzyła na swoje przyjaciółki. Tyle ze sobą dzieliły. Wzloty i katastrofalne upadki. Sabrina i Devon znalazły miłość swojego życia. Musiały znać odpowiedź na pytanie dręczące Caro.

- Czy on ma rację? Czy pożądanie, potrzeba obecności i miłość to różne nazwy tego samego?

Pięć pięter niżej Rory bawił się drugą tego wieczoru szklaneczką whisky.

Tak samo Cal Logan i doktor, ale oni nie mieli za sobą prawie dwudziestu czterech godzin postu. Ani adrenaliny przy odzyskiwaniu klienta z rąk porywaczy. Ani gruntu usuwającego się spod nóg z powodu małego nieporozumienia.

Szkocka podrażniła pusty żołądek Roryego. Oprócz niej frustracja i narastające wzburzenie.

- To znaczy, co to za problem, że się coś planuje? Logan wyciągnął się wygodnie na jednym z foteli. Miał na sobie garnitur, ale krawat wcisnął do kieszeni i rozpiął dwa górne guziki koszuli.

Doktor - który powiedział, że woli takie określenie od długiej listy tytułów cytowanej przez Sabrinę - był ubrany mniej formalnie, w spodnie, cienki sweter i sportową, zamszową kurtkę. Najwyraźniej jasnowłosa czarownica, w której się zakochał, nie dała mu czasu na przebranie się przed zawleczeniem go na lotnisko w Rzymie.

Z początku obaj mężczyźni traktowali Roryego z wyraźną wrogością. Jednak w ciągu ostatniej pół godziny ich nastawienie zmieniło się w smutne współczucie, co jeszcze potęgowało jego frustrację.

- Co jest złego w opracowaniu planu? - spytał ponownie, czując się skrzywdzony. - Wiem, czego chciałem i dążyłem do tego. Można by sądzić, że Caroline doceni wysiłek, jaki włożyłem w odnalezienie jej i ponowne spotkanie!

- Owszem, ty mógłbyś tak sądzić - zgodził się Logan.

- Pomyślałem o zebraniu ludzi na konferencji dopiero pod koniec roku. Przesunąłem

terminy i przenieśliśmy zjazd do Hiszpanii, by zapewnić jej firmie zatrudnienie. Nie chodziło tylko o zdobywanie jej - upierał się. - EBS zarobiło solidnie na tej konferencji.

Doc zamieszał whisky w szklaneczce.

- Wątpię, czy w tej chwili stan konta firmy w ogóle obchodzi Caroline. Albo Rinę czy Devon.

- Ha, a powinien. Sprawdziłem ich kondycję. Zaczęły zarabiać dopiero, gdy zdobyły Logana jako klienta.

- Dziś rano zapewniły sobie następnego - oznajmił spokojnie Calvetti. - Zaabsorbowana martwieniem się o Caroline Sabrina nie dopracowała szczegółów, ale najprawdopodobniej EBS dostanie organizację dorocznej konferencji Międzynarodowego Instytutu Neurochirurgii w Mediolanie.

- No właśnie!

Rory uderzył szklaneczką w stół i popatrzył ostro na obu mężczyzn.

- Caroline mówiła, że Devon pracuje wyłącznie dla korporacji Logana. Ty namówiłeś Sabrinę do otwarcia biura w Rzymie. Podejrzewam, że zatrzymasz ją tam, podsuwając takie zlecenia jak to w Mediolanie.

- Taki mam zamiar.

- W takim razie co z trzecią wspólniczką w firmie? Lata po całej Europie, dopilnowując reszty zadań firmy? Mówię wam, panowie, to się skończy.

- A jak chcesz to osiągnąć? - zaciekał się Logan. - Czy może ten cel też wziął w łeb razem z resztą planu?

- Nie zrezygnowałem z planu. Niecałkowicie. Choć z perspektywy widzę, że mogłem popełnić taktyczny błąd, tak szybko oświadczając się Caroline.

- Mogłem? - powtórzył Logan sucho.

- Naprawdę sądziłem, że wszystko gra. - Rory nie mógł zrozumieć, jak tak starannie opracowany wieczór mógł się nie udać. - Kolacja pod gwiazdami. Muzyka. Świece wszędzie. Większość kobiet by...

Zanim dokończył to zdanie, pojął. Caroline nie była taka jak większość kobiet. A przynajmniej tych, które znał. Przyjęła bez słowa skargi, co jej życie przyniosło, i zdobyła cichą, lecz niewzruszoną siłę.

Nie potrzebowała Rory'ego by ją chronił czy opiekował się nią, nie mówiąc już o

próbie odpokutowania za przeszłość za pomocą finansowego ustawienia jej do końca życia. Czego potrzebowała... czego naprawdę potrzebowała, to pozostawić przeszłość tam, gdzie jej miejsce - za sobą.

- Do diabła! Wszystko zrobiłem na odwrót! Zerwał się z fotela, prawie go przewracając.

- Jadę na górę. Bez eskorty - dodał, gdy jego towarzysze zaczęli się podnosić. - Przyślę tu Devon i Sabrinę.

- Powodzenia - rzucił Logan, sadowiąc się z powrotem.

Gdy Rory wysiadł z windy, stanął twarzą w twarz z dwiema kobietami, które właśnie zamierzał wyrzucić z pokoju.

- Caroline wysłała nas po ciebie - wyjaśniła Devon. - Chce z tobą porozmawiać.

- To dobrze, bo ja z nią też.

Usiłował wyczytać z ich twarzy, co go czeka, gdy wejdzie do pokoju. Ruda starannie przybrała obojętną minę, blondynka nie próbowała niczego ukrywać. Wcześniej jej wojowniczość znikła, teraz rzucała mu wyzwanie tak gwałtowne, że powietrze prawie skwierczało.

- Masz jedną szansę, żeby to wszystko wyprostować Burke. Bardzo małą, więc nie schrzani wszystkiego.

Na chwilę jej rysy złagodniały. Dość, by dostrzec w niej kobietę zdolną do zdobycia tak żelaznej lojalności przyjaciół i rzucenia tak chłodnego klienta jak Calvetti na kolana.

- Powodzenia - dorzuciła. Skinął głową w podzięcie i ruszył korytarzem. Gdy otwierał drzwi apartamentu, miał już zgromadzone argumenty i ustawione we właściwej kolejności.

Wszystkie wywietrzały mu z głowy, gdy zobaczył Caroline. Stała przy oknie, z rękami w kieszeniach szlafroka, wpatrzona w oświetlone iglice dzieła Gaudiego.

Odwróciła się na odgłos otwieranych drzwi.

- Właśnie myślałam.

- Ja też.

- Może...

- Poczekaj, Caroline. Pozwól mi pierwszemu powiedzieć. Proszę.

Skinęła głową.

- Twoje przyjaciółki ostrzegły mnie, że mam tylko jedną szansę, że nie mogę jej zmarnować. Faktem jest, że niczego nie mogę już schrzanić bardziej, niż to zrobiłem do tej

pory.

- Tak sądzisz?

- Wiem. - Potrząsnął głową, zastanawiając się, jak mógł być tak ślepy. - Sądziłem, że da się uwzględnić wszystkie możliwości, dopracować wcześniej szczegóły. W tym problem, że opierałem się na przestarzałych danych. Ty nie pasowałaś... nie pasujesz do żadnego z zakładanych przeze mnie parametrów. Nie jesteś tamtą dziewczyną, Caroline, tak samo jak ja tamtym młodym, gorącym ogierem, za jakiego się uważałem.

Przez jej twarz prześliznął się ślad uśmiechu.

- Młodym? Nie. Gorącym? Hmm....

- Próbuję powiedzieć, że wszystko zrobiłem nie tak Jedyne, co mam na swoje usprawiedliwienie, to że jeszcze nigdy nie byłem zakochany.

Zaskoczył ją. Szybko, wykorzystując okazję, ujął delikatnie jej twarz.

- Wiem, wiem. Gadałem mnóstwo głupstw o nierozróżnianiu pożądania od miłości. Pojąłem ją diabelnie szybko, gdy znalazłaś ten przeklęty plan. Pomyślałem, że cię stracę. Że już cię straciłem. Wtedy wpadły twoje przyjaciółki i musiałem stawić im czoło, praktycznie wypatroszony...

Zagryzła wargi.

- To... to jest jakiś sposób na opisanie miłości.

- Mam inny. - Pochylił się i musnął jej wargi swoimi. - Chcę być częścią twojego życia, w dowolny sposób, w jaki zechcesz, bylebyś w ogóle chciała.

Kiedy uniósł głowę, łzy lśniące w jej zielonych oczach zabolowały go jak cios.

- Chryste, Caroline, musisz mi uwierzyć! Nigdy nie chciałem cię zranić!

- Wiem.

Łzy płynęły coraz obficie, jego serce wraz z nimi wylądowało na podłodze. Przeklinając swoją niezdarność, otarł kciukiem jej policzek.

- Już dobrze, kochanie. Nie płacz, rozumiem. Wszystko, diabli wzięli.

- Ty idioto!

Drgnął, potem nogi się pod nim ugięły z ulgi, gdy uśmiechnęła się promiennie.

- To są łzy radości! Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Ja też cię kocham. Wiedziałam to już, zanim opuściliśmy dom Casteelów, ale ten kretyński plan mnie znokautował. Potrzebowałam tylko trochę czasu, żeby się otrząsnąć z szoku.

Sabrina i Dev mi w tym pomogły.

- Jestem ich dłużnikiem - rzekł Rory z uczuciem. - Dozgonnym. A ja zawsze...

- Spłacam swoje długi - dokończyła Caroline ze śmiechem. - Już o tym rozmawialiśmy. Parę razy. Daj sobie z tym spokój i pocałuj mnie.

Rory skwapliwie wykonał polecenie. Kiedy oderwali się od siebie dla zaczerpnięcia tchu, musiał załatwić jeszcze jedną rzecz.

- Wiem, że obiecałem spróbować romansu na odległość, jednak zbyt wiele lat jest pomiędzy nami. Wyjdź za mnie, Caroline. Dziś. Jutro. Pojutrze, jeśli musisz poszukać sukni.

Wrócił, pomyślała Caroline, krztusząc się zarówno ze śmiechu, jak i z żalu. Ten dominujący Rory, który po tylu latach wdarł się w jej życie.

- A co z badaniami krwi? - zaprotestowała. - Licencją? I czy nie potrzebny będzie nam świadek z konsulatu USA?

Miał dość przyzwoitości, by przez chwilę sprawiać wrażenie zakłopotanego. Tylko przez moment.

- Ja, hm, już to wszystko zaplanowałam. Tylko powiedz „tak”, a zajmę się szczegółami.

O Boże! Ależ kochała tego człowieka. I to, jak zdała sobie sprawę z gwałtownym przyływem radości, od tamtego lata, gdy ich drogi skrzyżowały się po raz pierwszy.

- Tak - powiedziała, wspinając się na palce, żeby pokryć jego twarz pocałunkami. - Tak, tak, tak, tak!!!



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na kategoryczne żądanie Sabriny i Devon ceremonia odbyła się dopiero trzy dni później. Uparły się przy dodatkowym dniu, by móc dodać co nieco do planu Rory'ego. Przede wszystkim sześć godzin biegania po ekskluzywnych butikach Barcelony. Całe popołudnie w spa, by zadbać o pannę młodą.

Na kategoryczne żądanie Caroline ślub odbył się na plaży w Tossa de Mar.

Harry Martin zadbał o podróż matki Caroline do Hiszpanii. Siedziała w pierwszym rzędzie, obok Sondry Jennings, trochę oszołomiona faktem, że nie jest w Kansas.

Za nimi siedziało kilkunastu pracowników GSI. Obok kapitan Antonio Medina i grupka pracowników kurortu, z którymi Caroline pracowała w trakcie konferencji.

Elena i Juan Casteelowie też przyjechali, parę godzin wcześniej, żeby Elena mogła odwiedzić pannę młodą w pokoju i „pożyczyć” jej wyszukaną, koronkową mantylkę.

- Coś pożyczonego, coś niebieskiego - powiedziała z uśmiechem. - Taki jest zwyczaj w twoim kraju, prawda?

Ponieważ Caro zdecydowała się na prostą, białą suknię bez ramion i wianek na głowie, Elena udrapowała jej mantylkę na biodrach.

- Pasujecie do siebie z Rorym - zawyrokowała, związując końce. - Tak jak Juan i ja. Mam nadzieję, że będziecie mieli tyle wspólnych szczęśliwych lat co my.

Caro uściskała ją serdecznie.

- Ja też.

Potem pod ramię z Harrym Martinem ruszyła z hotelu na plażę. Emerytowany policjant był wspaniały.

W na pewno bardzo nieobiektywnej opinii Caro w białym garniturze i pod krawatem wyglądał jak nieco starsza i bardzo seksowna wersja Jamesa Bonda.

- Mówiłem ci, że Rory to dobry człowiek - uśmiechnął się do niej.

- Owszem.

Wraz z pierwszymi, namiętymi tonami flamenco, Harry poprowadził Caro po schodach na plażę. Poprzedzały ich Sabrina i Devon. Obie spełniły swoje marzenia o tym,

jak powinna wyglądać drużna.

Sabrina miała na sobie ognieście czerwoną suknię bez pleców i bez ramiączek. Na jej widok oczy wychodziły wszystkim z orbit. Devon wyglądała może skromniej, ale równie atrakcyjnie w bladolawendowej sukni. Kolor ten miał dla niej specjalne znaczenie. Coś wspólnego z narciarskimi kombinezonami i opaskami na uszy. Ani Caro, ani Sabrina jakoś nie mogły się połączyć, o co w tym chodzi, ale obiecały wystąpić w tym kolorze na ślubie Dev i Cala w maju. Sabriny miał być kilka tygodni wcześniej.

Przez jedną, szaloną chwilę przyjaciółki rozważały potrójną ceremonię. Oczywiście w Salzburgu, gdzie się spotkały po raz pierwszy.

Rory wyraźnie musiał wówczas przywołać całe swoje opanowanie, nie chcąc okazać, jak mu się spieszy, by zaprowadzić Caroline do ołtarza. Otrzymał niespodziewaną pomoc ze strony Marca, który spokojnie zasugerował, że jego matka, księżna, byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby nie wzięli ślubu z Sabriną w rodzinnym pałacu w Neapolu.

I tak Caroline znalazła się tutaj, pod rękę z Harrym, w blasku słońca migoczącego na falach Morza Śródziemnego, z zamkiem w oddali.

Przed nią był Rory, z Markiem i Calem obok. Wszyscy trzej wyglądali niesamowicie przystojnie w garniturach, Caro patrzyła jednak tylko na jednego. W ciągu kilku tygodni zszokował ją, oszołomił i namieszał jej w głowie. Jednak wystarczył jej uśmiech w jego bursztynowych oczach, by wiedzieć, że Elena miała rację. Byli sobie przeznaczeni, od pierwszego spotkania.

Z rozśpiewanym sercem Caroline podziękowała za wszystko swojej przeszłości i skupiła się na przyszłości.

